

Silva rerum

GAZETA SZKOLNA PAŃSTWOWEGO LICEUM SZTUK PLASTYCZNYCH W KOŚCIELCU

Godziny przy piórze – one leczą rany. One też wstrzymują od ran zadawania.

Stanisław Grochowiak, *Ars poetica*

Ars – tym łacińskim słowem, rozumianym jako sztuka, a tłumaczonym luźno jako układ, określano po prostu umiejętność postępowania według jakiegoś układu, schematu. To objaśnienie w sposób najbardziej uniwersalny definiuje sztukę właśnie, ponieważ pozwala zamknąć w sobie, oprócz oczywistych dziedzin, takich jak malarstwo, rzeźba czy literatura, również rzemiosło. Dzisiaj jednak sztukę postrzega się nieco inaczej. Jej granice są niedefiniowalne, ponieważ w każdej chwili może powstać jakieś dzieło, które w powyższej definicji nie będzie się mieścić. Wytwory sztuki są niepowtarzalne, spełniają rozmaite funkcje i mają czysto subiektywny charakter. Różne formy wypowiedzi artystycznej dążą do łączenia się i wzajemnego przenikania. Wspólnota sztuk plastycznych i literatury widoczna jest na przykład na terenie takich pojęć jak impresjonizm czy symbolizm, ale zdarza się także, że malarze czy rzeźbiarze również tworzą literaturę albo spełniają się w kinematografii lub teatrze. Podobne doświadczenia towarzyszą uczniom PLSP w Kościelecu, którzy przecież obcuja ze sztuką każdego dnia. Wyzwała w nich ona emocje, które często potrzebują się sfinalizować w postaci większej lub mniejszej formy literackiej, kwalifikowaną najczęściej jako utwór liryczny albo epicki. Te teksty, niekiedy może mało doskonałe, nieco chropawe i szorstkie, niezbyt kunsztowne i nieoszlifowane, ale szczerze i emanujące szczególnym pięknem, powstałe z potrzeby wyrażenia siebie, nazwania swoich emocji, odniesienia się do rzeczywistości, z nagłego porwy serca, przyływu natchnienia lub tworzone na zamówienie, konkurs literacki, stanowią szczególnie ciekawą i cenną część dorobku artystycznego adeptów sztuk wizualnych, bo są świadectwem autentycznych emocji, kontestacji, poszukiwań typowych dla wieku młodzieńczego. Za każdym razem towarzyszy tego typu działaniom oczyszczanie siebie, swojego umysłu, otwieranie się na coś nowego.

Aby ocalić te cenne drobiazgi od zapomnienia, przypomnieć sukcesy literackie naszych Absolwentów i Uczniów, oddajemy w Wasze ręce inauguracyjny numer Gazety wypełniony Ich tekstami, zgodnie z zasadą starożytnych mędrców *verba volant, scripta manet*. Może te właśnie utwory zapowiadają literackie kariery? Może prezentowane dziś brylanty, okażą się diamentami zdobiącymi najszlachetniejsze karty naszej literatury?

Czas pokaże. Życzę lektury bogatej w emocje, równym tym, jakie towarzyszyły powstawaniu tych niezwykłych impresji literackich.

Violetta Kaszyńska



Rytm twórczości jest nieprzerwany, wymaga totalnego, bez reszty permanentnego zaangażowania myśli, woli i wyobraźni.

Tadeusz Kantor

Gazeta, którą mają Państwo w ręku, powstała z miłości do literatury, z potrzeby dzielenia się pięknem słowa pisanego. Pomysł na projekt stworzenia czasopisma, w którym młodzi twórcy mogliby publikować swoje utwory, dojrzał w naszych głowach od dłuższego czasu. Gdy czytaliśmy kolejne teksty, przygotowując je do druku, w pełni zawładnął już naszymi sercami. Obdarzono nas wielkim zaufaniem. Pozwolono nam wejść w świat osobistych, subiektywnych i często bardzo intymnych przeżyć. Robiliśmy to stopniowo, powoli i z ogromną ostrożnością, by nie uszkodzić delikatnej nici zaufania, którym obdarzyli nas młodzi twórcy. Prawdziwe, dojrzałe i piękne - takie są utwory prezentowane w naszej gazecie i tacy są też ich autorzy. Są też odważni, bo tylko Oni wiedzą o tym, jak trudno jest zwalczyć wewnętrzny opór i ujawnić to, co ukryte w najdalszych zakamarkach własnej duszy, czasem pokonać coś, co trzyma najmocniej - brak wiary w siebie. Dlatego nasza gazeta jest wyjątkowa, pokazuje bowiem talent, odwagę, szczerłość i wrażliwość młodych twórców, Uczniów i Absolwentów PLSP w Kościelecu. Pierwszy numer *Silva rerum* jest unikatowym zbiorem opowiadań, szkiców i wierszy. Stanowi ona piękny dowód na to, że determinacja i konsekwencja są kluczem do sukcesu, a słowa, nawet te pisane do szuflady, mają wielką moc. W jednym z przywołanych w tym numerze tekstów nasza absolwentka Weronika Jońska napisała „pragniemy mieć własne miejsce w szkolnej księdze, nawet gdy nasze szafki zakwitną pustką; być nazywani po imieniu. Obawiamy się zapomnienia, w momencie, gdy świeża farba wyschnie, a zdanie skończy się kropką”. My nie zapomnimy, chcemy, by słowa, a wraz nimi obraz ich twórców, były wciąż żywe i barwne. Życzę, aby dali się Państwo uwieść słowom i obrazom.

Agnieszka Małecka

W obronie piękna

Od tego, co sobie często wyobrażasz, zawisł twój sposób myślenia. Dusza bowiem barwi się wyobrażeniami.
Marek Aureliusz, *Rozmyślenia, księga V*

Sztuka to język obcy. To zakochiwanie się w ideach, obrazach i konwersacjach. Nie jest to miłość tragiczna, a raczej przypadkowy pomysł, nawiedzający cię w środku nocy, natarczywie domagający się uwagi. Studium w kolorach, myślach i słowach, które powtarzane niezliczoną ilość razy, wciąż brzmią jak nowo utworzony dialekt. Sztuka to niekończący się romans z literaturą, muzyką, cieniami na ścianie, okrzykami radości i rozpacz. To pasja i filozofia zadawania pytań o artystyczne sposoby udzielania odpowiedzi.

Rzecz łącząca ze sobą wszystkich artystów? Przytłaczająca i niezaspokojona tęsknota za czymś więcej. Za pięknem, ekscytacją, idealnie odwzorowaną rzeczywistością i abstrakcją. Artysta to osoba wiecznie podająca w wątpliwość najmniejszą drobinę kurzu, unoszącą się bezwładnie pod sufitem. To zawieszona w czasie rozmowy o historii sztuki i dziwne gry słów, aby artystę kojarzyć z jego obrazami; błysk w oku, gdy witryna sklepowa informuje o przecenie farb akrylowych i usta zaciśnięte w skupieniu, podczas odmierzenia proporcji, przy pomocy obgryzionego ołówka. To farba za paznokciami, węgiel, rozsmazany na skończonej pracy, wiecznie pogniecione arkusze brystolu i magicznie znikające pędzle. To wspólne zwiedzanie muzeów i galerii sztuki, żywych i oddychających kakofonią barw, z delikatnie nagiętą rzeczywistością. I zakochujesz się od nowa. Podziwiasz pociągnięcia pędzla i kompozycję przy akompaniamencie cichego klikania butów na chłodnej podłodze. To tam, gdzie granica pomiędzy sztuką a życiem staje się niewidoczna, odkrywamy bowiem ludzką stronę postaci, kryjącej swoją twarz za połacią płótna. My, jako artyści, uczniowie, ludzie po uszy zakochani.

Każda epoka zdaje się posiadać własną, niepowtarzalną aurę. Sztuka bizantyjska jest niebiańska, pełna światła. Czasem trudno uwierzyć, że jest wytworem ludzkiego umysłu. Daje nadzieję w swojej transcendencji. Stworzyli ją ludzie, którzy trzymali w dłoniach mistycyzm nieskończoności, obmywając nim sztukę i architekturę, niczym płynne złoto, niemal ciepłe w dotyku. Prerafaelizm jest równie miękki, co aksamit. Ubrany w purpurową szatę, na głowie nosi wianek z pomarańczowych nagietków. Jego niebezpieczeństwo jest delikatne. Subtelne piękno z ukrytą nutą groźby, której widz staje się świadom, gdy dostrzeże jego prawdziwą twarz. Innymi słowy - podziwiam z bezpiecznej odległości.

Pamiętam moje początki. Gdy po zaledwie miesiącu nauki byłam przekonana, że wiem coś o sztuce, nigdy bardziej się nie myląc. Gdy sądziłam, że zrobienie pięćdziesięciu szkiców w jeden wieczór jest rzeczą możliwą do wykonania. Gdy dowiedziałam się, że Vincent van Gogh pomimo swojego głębokiego smutku, potrafił malować najpiękniejsze obrazy, nadawać im własną osobowość, tworzyć coś nowego. Pamiętam, gdy zrozumiałam, że sztuka to nie tylko poprawny anatomicznie rysunek postaci czy obserwowanie sposobu, w jaki światło pada na krzywizny starego dzbanka do herbaty. To również notes wypełniony starannym piśmem, kolory zmieszane na kawałku tektury, który dzielnie pełni rolę palety; to subtelna mimika twarzy, trwająca ułamek sekundy i kwiaty wyrastające spomiędzy popękanych płytek chodnika. To świadome zatapianie się w momentach.

Przekształcanie ich w klatki filmowe i obrazy, aby nie zapomnieć tego, co delikatne i piękne. Kolekcjonowanie małych dzieł sztuki i przeglądanie ich w marzeniach sennych. Artysty dopatrują się ludzkich emocji w rzeczach, dla których uczucia są pojęciem obcym.

Maj był malowany żółtą farbą. W nocy cisza daremnie kołysała nas do snu, dzień pachniał świeżymi truskawkami i terpentyną rozlaną na trawniku. Powietrze gęste jak akacjowy miód piekło w twarz i dłonie wystawione do słońca. Plener zawsze przynosił ze sobą coś nowego, jak te kwitnące na łydkach siniaki od objadającej się o nie drewnianej deski, przewieszanej przez ramię nieudolnie zawiązanym sznurkiem. Bezsennie noce spędzone na rozmowach o niczym, oświetlone rażącym światłem telewizora. Małe plamki złota w brązowych oczach i włosy upięte trzema ołówkami. Deszczowe dni były inne, sennie i monochromatyczne. Wzrok skupialiśmy na prezentacji o angielskich ogrodach, z bolesną świadomością uciekającego czasu i ilości szkiców pozostałych do skończenia. Ostatnie dni zawsze smakowały gorzką słodyczą czerwca.

Ciemna klasa, której jedynym punktem zaczepienia był jaskrawy ekran, odtwarzający sceny z życia nieznanomych. Godziny poznawania ludzi złamanych zostawiły wewnątrz mnie niewielką plamkę, która odtwarza w umyśle zapamiętane obrazy, niczym przycisk na klawiaturze. Życiorys artysty jest niezbędnym składnikiem w mieszance wybuchowej, jaką jest rozumienie sztuki. Obraz może być buntem przeciwko szufladzie, w którą ktoś postanowił nas upchnąć, manifestem nowej tendencji, obranej w kierunku lepszego świata lub cichym krzykiem, uwięzionym pod warstwą farby. Filmy o artystach to jedynie odbicia w krzywym zwierciadle, odtworzone na podstawie nietrwałych opinii i wyobrażeniu o chaosie i, w jakim żyli oni od dnia, w którym zapredali swoją duszę sztuce.

Każda sztuka zawsze dąży do tego, by stać się muzyką, pisał Walter Pater. Źródła kultury tworzą nierozzerwalną nić, przenikając się wzajemnie w powolnym, płynnym tańcu. Wybrzmiewają jak miarowe uderzenia wyszczerbionych od pasji pałeczek, przy akompaniamencie basowej melodii, osadzającej się gdzieś na dnie serca. Długie popołudnia spędzone nad pomazanymi ołówkiem akordami, wypełnione paniką przed znalezieniem odpowiedniego dźwięku rekompensowały nam oklaski i świadomość tworzenia czegoś w obronie piękna. Próbom czasem towarzyszył wstręt do tych trzech minut, granych brutalnie w niekończącej się pętli, którą przerwać mogła tylko upragniona perfekcja. Wspomnienie zespołu zawsze będzie miało dla mnie pomarańczową barwę, zapach zakurzonej kurtyny i smak parzonej kawy.

Pałac przyniósł ze sobą powiew świeżego powietrza. Każdy szczegół zdawał się kwitnąć w nim jaśniej, stawał się dla nas pretekstem do prowokacji i młodzieńczego poznania. Istotna była ilość marmurowych schodów i ściany rumiane od słodkiego różu. Kochane obrazy ożywały, budzone dźwiękiem przybijanych do płócien ram. Budynek wyrwany z letargu znów pełnił należytą mu funkcję. Puste lata przeminięły cicho, jak utracone bezpowrotnie kosmyki włosów. Przedwieczne splendory, o których myśląc ronimy gorzkie łzy, istnieć mogą tylko na kartach historii. Tworzymy dla nich zasłużoną mogiłę, ledwie widoczną pod czerwienią złożonych róż. Wizerunek Apollina sprawuje pieczę nad otaczającym go bogactwem, malowany spod przymkniętych powiek pozbawił artystę wzroku. Po ramieniu malarza, wyciągniętym ku niebu, spłynęła strużka błękitnej farby, pozostawiając po

sobie ślad na przyszłe stulecia. Szlachetny wawrzyn wykwił z rany na dłoni. Artysta czekał nocami, aż fresk zaczerpnie w usta chłodne powietrze i odwzajemni spojrzenie twórcy. Kwiaty zwiędły, powierzchnia farby pokryła się kurzem, zaniedbanie doprowadziło do dewastacji. Blizna pamięta swą ranę, rana pamięta wyrządzoną jej krzywdę.

Myślę, że zasłużyliśmy na słodki epilog. Ktoś musi odejść pierwszy, to bardzo stara historia i nie istnieje inna wersja tej opowieści. Ale są chwile, gdy chodząc długimi korytarzami, dostrzegam własne odbicie w okiennej szybie, powiedzmy, w tej wychodzącej na ruiny zapomnianego meczetu. Jestem zachwycona zmęczonym spojrzeniem i kwitnącym rumieńcem, pałac drży pod nieobecność swego pana. Ulotne cienie przedstawiają się tutaj nieśmiało, a kwiaty intarsji są blade, jak bukiet lilii; gałęzie powalonego dębu szepczą pomiędzy sobą, marząc o wspólnym języku.

Będą o nas pamiętać. Nawet w innym czasie, napisała Anne Carson w swoim dzienniku. Chcemy, aby ta myśl nie była jedynie ułudą. Pragniemy mieć własne miejsce w szkolnej księdze, nawet gdy nasze szafki zakwitną pustką; być nazywani po imieniu. Obawiamy się zapomnienia, w momencie, gdy świeża farba wyschnie, a zdanie skończy się kropką. My, jako artyści, uczniowie, ludzie po uszy zakochani.

Weronika Jońska

Tekst okazjonalny zamieszczony na stronie internetowej szkoły w związku z ukończeniem PLSP w Kościelcu przez rocznik maturalny 2017.



Sobie

Oskrzydlony do białości
Cierpki nie dotykając zastygłości
Płuc
Zbyt szerokie wokół pola
Zamiast ramion które
Brzydzą się kulić w sobie
Ci zbyt długo Zakopują słowa
I zbyt długo patrzeć będą Ci którzy widzieć winni
Jego kołowanie ku ziemi
Odległym obejdą się spojrzeniem
I nie ruszą ściany wzruszenia
Na los spadających w locie
Lepiej jest ślepnąć niż zobaczyć na oczy

Wyhoduj

Być może
ptaki – z głową w tył
i oczami patrzącymi do wewnątrz –
oderwą nogi od ziemi.

Być może
– w niemożliwości –
idee zatrzymania
wzniosą się ze światem,
by poznać niebo.

Bezboleśnie
zapomnieć o świecie,
by stać się pamięcią starca
o ciepłe poranka.

Być może
staną się na tyle cicho,
by zasnąć na powiekach.

Wykończyć się w rękach
i spłynąć po palcach..

Nieskończoność

Powiadasz, że jeśli przeżywać to tylko prawdziwie.
I sino lśniesz gładkim obliczem.
Szklistość rozlewa się w soczewce –
szyba, na którą przyjmujesz głucho stukot palców.

Fałszywe jest piękno,
którym otaczasz to drzenie.
Skowyt nie wyrwie się z obietnicy
misternie rzeźbionej na kształt
tego, co przyjdzie.

Przyszłość –
rozbita szyba,
sączący się sok z czarnej porzeczeki w melancholii,
bujający się but nad posadzką w kiczu.

Patrzą,
czekają nim się obudzisz
i drżą, nim łagodnie przemówisz,
by głęboko zasnąć.

Gładkość szybą się łudzi.
Czekają, bo patrzą,
gdy się obudzisz.

Julia Kochańska

Wiersze wysłane na XXVIII Międzypowiatowy Koniński Konkurs Poetycki im. Bogusława Janiszewskiego „Poezja młoda – poezja nowa” w 2019 roku.

Bezimienne

Szeptcę zwrócona ku nocy, z polikiem przyciśniętym do zimnej szyby. Zamiast tablicy z nazwą miasta i aktualną liczbą mieszkańców, która zwykle wita przejeżdżających, przy drodze stoi metalowy znak. Kształtem przypomina stary neon sklepowy, kiedyś pełniący rolę latarni morskiej dla zbłąkanych. *Odwiedziłeś już to miasto. To my postaraliśmy się, abys o tym zapomniał.*

Nie potrafię siedzieć nieruchomo, miejsce pasażera stało się nagle zbyt nieznośne, jakby miało ochotę kogoś ugryźć. Droga płynęła za oknem, pozbawiona widocznego końca, a ja nie potrafiłam przypomnieć sobie jej początku. Zasnęłam tuż przed zachodem słońca, otulona łagodnymi nierównościami asfaltu.

Odnotowałam moją dezorientację, rozejrzałam się tam, gdzie moja szyja była w stanie się wygiąć, spojrzałam pod nogi, zignorowałam wygodnie siedzenie. Czerwona poświata radiowego odbiornika zaginęła się na moich tęczęwkach, tworząc z ich lewej strony martwe pole. Nie pamiętałam, kto siedział za kierownicą i nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo. Prawdopodobnie wciąż trzymało się mnie senne otępienie.

W miejscach, takich jak to miasteczko, rzeczywistość zdaje się być wyodrębniona ze świata. Minęliśmy oświetlony budynek, stojący zdecydowanie zbyt blisko drogi. Pozbawiony uroku i życia, które kwitnie tam wyłącznie w sobotnie wieczory, był pierwszą posiadłością, zaraz za niepokojącą tablicą informacyjną. Zerknęłam w boczne lustro, zmieniając perspektywę. Gości przy wjeździe witała kamienna rzeźba kobiety, teraz wyraźnie niezadowolona z braku okazanego jej zainteresowania.

Droga opadała nieznacznie z każdym następnym płatem nawierzchni. Bezimienne Miasteczko położone było na nizinie i otoczone zewsząd gęstym lasem. Jego nazwa, wielokrotnie przeinaczana, obrosła wśród mieszkańców legendą. Zakazana wiele pokoleń temu, teraz stanowiła tylko zlepek przypadkowych liter alfabetu. Nie byłam pewna którego.

W przewodniku, który kupiłam na stacji parę kilometrów przed wjazdem do miasta, cała oddzielna strona poświęcona była instrukcjom zachowania podczas wycieczek do pobliskiego lasu. Rozłożyłam broszurę na kolanach, wciąż ignorując dziwne pomruki i odgłosy kłapania zębami. Kierowca, nadal pozbawiony tożsamości, pokręcił małą korbką, aby lepiej słyszeć szumy wydobywające się z radia. Rozproszona tą czynnością, odszukałam na papierze interesujący mnie fragment. Instrukcje poruszania się po lesie. Przekrzywiłam broszurę w stronę okna, pozwalając migającym latarniom na oświetlenie drukowanego tekstu.

Punkt 1. Nigdy nie obracaj się za siebie. Zobaczysz jedynie ziemię i drzewa, ale jeśli zaczniesz, nie będziesz mógł przestać, a niepokojące uczucie nie opuści cię dopóki nie zaryglujesz za sobą drzwi domu.

Punkt 2. Stojąc nieruchomo i wsłuchując się, będziesz w stanie usłyszeć drzewa wołające twoje imię. Nie odpowiadaj. Nigdy nie odpowiadaj.

Punkt 3. Będziesz słyszał różne rzeczy, podążające cicho twoimi śladami. To nic, one tylko patrzą.

Punkt 4. Jeśli masz złe przeczucie, obierając konkretną ścieżkę, nie idź nią. Będziesz w stanie uniknąć tego, co czeka na ciebie na końcu. Cokolwiek to jest.

Przerwałam lekturę, kiedy kierowca znacznie zwol-

nił, po czym krajobraz za oknem stanął w miejscu. Wyciągnęłam szyję, obserwując półmrok przed nami, szukając powodu nagłego postoju. Jeleń, pozbawiony części poroża, pojawiał się i znikał razem z mrugającym światłem lampy ulicznej. Zdawało mi się, że wiedział, kim jestem. Mrugnął jednym okiem, potem drugim i trzecim. Człowiek na miejscu kierowcy uderzył dłonią w klakson, a nowo poznany mieszkaniec zniknął w zaroślach równie szybko, jak się pojawił.

Punkt 5. Upewnij się, że pamiętasz drogę powrotną. Jeśli zboczysz ze ścieżki, staniesz się tylko kawałkiem świeżego mięsa.

Zimny dreszcz wspiął się po moim karku, ginąc u nasady ciemnych włosów. To było jedno z tych uczuć, których słowa nie potrafiły w pełni opisać. Zawsze pozostawała jakaś luka. Dawno temu utworzyłam listę takich rzeczy, a teraz dodałam do niej czytanie *instrukcji poruszania się po lesie, podczas przejeżdżania przez Bezimienne Miasteczko, zaraz pod zaginionymi zwierzętami, które nigdy nie zostały odnalezione i rodzinnymi spotkaniami.*

Znów poruszaliśmy się ze stałą prędkością, a przydrożne domy i trójoczne zwierzęta obserwowały nas po drugiej stronie szklanej tafli. Z radia wydobyło się kilka trzasków i szum, którego słuchał kierowca, został zastąpiony przez miejscowy komunikat. Gdybym mogła spojrzeć na osobę siedzącą obok mnie, z pewnością na jej twarzy zobaczyłabym wyraz zaskoczenia.

Tutejsza mleczarnia oferowała wolne stanowiska pracy, ponieważ ostatnie zniknięcia personelu znacznie spowolniły pracę fabryki, a burmistrz miasta zapraszał wszystkich ludzi i stworzenia, z więcej niż jedną parą oczu, na niedzielny piknik tuż przy ratuszu. Na ten dzień przewidziano również aukcję rzeczy, które nikomu nie są potrzebne oraz leśne podchody - wygrana trafi w ręce tego, który przeżyje. Zaraz po ogłoszeniach radosny kobiecy głos zaprosił słuchaczy na kilka sponsorowanych wiadomości.

Dziwięciu na dziesięciu dentystów poleca pastę do zębów Colgate. Ostatni z nich wciąż pozostaje przy 'ciele niewinnych oraz czaszkach, obserwujących, osądzających i szczerze mówiąc, nie jesteśmy pewni czy to prawdziwy dentysta. Usłyszeliście państwo reklamę firmy Colgate. Za moment wywiad z lokalną wróżbitką, a potem - pogoda.

Na rondzie wybraliśmy drugi zjazd, minęliśmy budynek poczty i poruszając się niezwykle ciasnymi uliczkami, jechaliśmy przed siebie. Nikt na nas nie czekał, może ktoś nas gonił, ale tego nie byliśmy świadomi.

Znajome uczucie uformowało się na dnie mojej klatki piersiowej, kiedy neon sklepowy zabarwił świat za szybą na kolor ciepłej purpury. Niezależnie od pory dnia i nocy, każde miejsce parkingowe zawsze było zajęte. Nie byłam pewna, gdzie się tego dowiedziałam, może mówił o tym głos kobiety z radia, w przerwie pomiędzy sponsorowanymi ogłoszeniami. Zapragnęłam uwiecznić pusty parking, zastawiony samochodami, żeby mógł istnieć odrobinę dłużej. Miałam nadzieję, że uda mi się rozciągnąć czas. Fioletowy neon zniknął z pola widzenia, zanim zdążyłam dokończyć myśli.

Światła skrzyżowania przecięły mgłę, unosząc się nad wychłodzoną glebą. Noc wciąż napierała na powierzchnię szyb, zadomowiła się wewnątrz moich ust i uciekała z każdym głębszym oddechem. Zwierzęta przyglądały się nam zza drogi, ich czerwone, żółte i brązowe oczy przypominały siniaki na obitym kolanie. Wysoki znak informował o nieświeżych hot dogach i zimnym piwie podawanym w księżycową noc, tylko za połowę ceny. Obok ogrodzono

pusty plac zabaw z huśtawkami, które zawsze występują w parach, zmuszając dzieci do przyprowadzania swoich wyimaginowanych przyjaciół. Zielone światło. Otoczenie znów wypełnił znajomy dźwięk silnika. Miałam wrażenie, że słyszę go od początku świata.

Srebrne widmo księżycy odbijało się w przedniej szybie, przybliżając nas do tego, co nieosiągalne. Dotknęłam je czubkiem wskazującego palca, ale szyba pozostawała płaska i zimna, jak powierzchnia zamrożonego jeziora.

Tym razem głos, którym odezwało się radio, należał do mężczyzny. Mówił bezpośrednio do mnie, nie wymówił żadnego imienia, ale wiedziałam, że jego słowa przeznaczone są dla mnie. Ostrzegał przed czarami i voodoo, co wydało mi się odrobinę zabawne. Nawet kierowca wydał z siebie ciche prychnięcie. Sięgnął prawą dłońią i zmienił bieg na wyższy. Noc kleiła się do kół jak guma do żucia, zdawała się pożerać nas żywcem. Biblioteka Publiczna organizuje konkurs poetycki dla dzieci szkół podstawowych i dorosłych, którzy stracili w swoim życiu cel. Prace o tematyce apokaliptycznej należy przysyłać listownie na adres biblioteki. Organizatorzy dodają, że nie biorą odpowiedzialności za wszelkie nieoczekiwane skutki, spowodowane ich konkursem.

Oparta o przezroczystą szybę, liczyłam rozmyte kształty pojawiające się za oknem. Mój oddech zostawał po sobie mleczne, zaparowane połacie. Widziałam w nich odbicie twarzy, która wyglądała jak moja; chociaż nie byłam już tego pewna. Zmieniałam się tysiące razy, wjeżdżając do tego miasta, byłam tyłoma osobami, ile świat jest w stanie pomieścić.

Zostawialiśmy za sobą kolejne całodobowe sklepy, porzucone tablice rejestracyjne i domy, czekające na powrót właścicieli. Zegar pokazywał pięć przypadkowych cyfr, które zmieniały się w nieregularnych odstępach. Uśmiechnęłam się do siebie, kiedy za szybą pojawiła się bliźniacza latarnia obwieszona skradzionymi butami. Rozpoznałam parę białych trampek, które zgubiłam w pierwszej klasie gimnazjum. Teraz zwiślały na długich sznurowadłach wśród dziesiątek innych, zapomnianych wspomnień, które nigdy już nie będą nikomu służyć.

Wskazałam miejsce palcem, ale nie mogłam zobaczyć reakcji osoby za kierownicą. Miałam nadzieję, że choć odrobinę jej się spodobało.

A teraz, drodzy słuchacze, czterogodzinna transmisja odgłosów Plutona. Dziewiąta planeta naszego Układu Słonecznego ma ostatnio wiele do powiedzenia.

Droga płynęła za oknem, pozbawiona widocznego końca. Zawsze żyjemy pośrodku, nie pamiętamy, od czego wszystko się zaczęło, a koniec możliwy jest tylko wtedy, gdy przyjmiemy, że historia opowiada o nas. Moja historia to Bezimienne Miasto, niewielki wszechświat na wyłączność. Znów jechaliśmy prostą drogą, kręte uliczki zniknęły razem z zabudowaniami. Zostawiliśmy za sobą wciąż gasnące lampy uliczne i broszury pisane przez ludzi, których w nocy odwiezają tylko koszmary. Jedynym źródłem światła była czerwona poświata radia, które teraz szumiało na swojej stałej częstotliwości. Noc, wciąż ciasno oplatająca każdy mój ruch, teraz zdawała się być miękka w dotyku.

Nie zapytałam osoby na miejscu kierowcy, która była przy mnie od samego początku podróży, o jej imię. Wiedziałam, że moje słowa spotkałaby tylko cisza w akompaniamencie miarowego szumu. Zamiast tego skupiłam wzrok na zmieniającym się krajobrazie. Nie byłam przekonana, czy na pewno opuściliśmy już dziwne miasteczko, dopóki przy dro-

dze nie pojawiła się kolejna metalowa tablica. Jak można się było spodziewać, ta również pozbawiona była konkretnych informacji.

Cóż, wygląda na to, że z powodzeniem udało się nam ciebie tutaj zwabić.

Kolejny dreszcz przebiegł wzdłuż mojej skóry, kiedy do listy rzeczy, których słowa nie potrafią opisać, dodałam opuszczanie *Bezimiennego Miasteczka*.

Weronika Jońska

Utwór wysłany na I Konkurs Malarsko-Literacki „Moje krajobrazy” w Białymstoku w roku szkolnym 2016/2017.



Ilustracja: Aleksandra Lewandowska

Nie ma w nas błahości

Ty też byleś młody!
Gdybyś słuchał choć jednym uchem,
przypomniałbyś sobie ten świat,
gdzie słońce zachodzi
za wcześnie o cały dzień
i za dużo leży na językach słów,
gdzie żaden głos
nie zmusi, żeby przestać pytać,
i niczyja ręka nie zabroni
patrzyć na wschody własnych myśli.
Nie ma w nas błahości.
Decydujemy o naszym czasie,
który teraz masz,
bo każdy z nas w środku czuje
ten prosty, mętny strach
o nicość jutra.
Boimy się przepaści.
Teraz cierpimy po wsze czasy,
musi nam starczyć do końca,
ale dziś też szybujemy,
szkatułkując gniew i miłość
szepc i krzyk,
dla własnej świadomości, że
udało nam się żyć.
Nie ma w nas błahości,
bez nas przestałby być świat,
dlatego więc posłuchaj,
choć ten jeden, krótki czas.

Cisza

Wymowny niby duch
skrada twoje cienie
i czeka, czeka aż zniknie
odgłos wystraszonych kopyt.
Plecy, twoje plecy
oblewa kubłem wody, gdyż tak
rzadko, tak bardzo rzadko
zapełnia głowę pełną
żaru, wody, wiatru i ziemi.
Nie dopuszczasz zjawy
do ciała biegnącego sercem
i nie wiem tak naprawdę
czemu utrudniasz oddechom
wyjść do świata,
czemu nie możesz stanąć
i usłyszeć szepty cienia,
który zwany dzisiaj duchem,
czeka by rozpętać w tobie
więzy zagubienia.

Ja bez Ja

Otóż ja zostałam sama,
nie umiem mówić jeść i pić.
Mam tylko świadomość, że żyję
i wiem, że Ja odeszło.
Chyba Ja nie planowało,
jak wymknąć się z mych rąk.
Tak zwyczajnie wstało i wyszło.
Może ja spałam, nie pamiętam,
lecz zniknął smak mojej władzy
nad tym materialnym – dziś bez rąk,
i zostałam sama, już bez żadnych słów,
gdzieś ukryta w ciepłe stada,
i potulnie sobie czekam,
aż prawdziwe Ja powróci.

Zachody

Siedząc na grubym parapecie
widać świat notorycznych zagadek.
Patrzę po omacku na gwiazdy sklepienia
i słucham głuchych szeptów
duchów przeszłości.
Oni wszyscy już to widzieli
i krzyczą, lecz ktoś ślepy mur postawił
na dwie strony kierujący.
Oni krzyczą, bo już wiedzą,
że znów ktoś ogląda świat.
Oni proszą, by ktoś w końcu
odgadł przeznaczenia
parapetów ślad.

Sen

Bez linijek kształtów
przez usta wypluwanych
i zbędnych rozmów po omacku,
tam gdzie światła nie palisz,
i stąpasz sam,
ani nawyków cichych
zarytych Ci w otchłań znudzonego tła,
i bez ciężaru w nogach
- zagłębiasz się w czarny, gęsty sen.

Nikt nie przyszedł, nie powiedział
jaka szafa mieści strachy.
Sam odszedłeś zaplątany
w tej przepaści mroczną toń.

Lidia Tańska

Wiersze wysłane na Konkurs Literacki „Wyjustowani” organizowany przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu w roku szkolnym 2017/2018.



Wędrowiec

Pewnego wieczoru, jednego z tych, w które przeczuwa się, że nastąpi coś wielkiego, z tych wcześniej nadchodzących, kiedy podniosłość unosi się w powietrzu, powiedzieli mu, że czas w drogę. Wyruszył więc. Nie musiał, wiedział o tym. To on miał iść, tak jak sam musiał poznać swój cel, to z czym powróci. Czuł, że jego stopy są jeszcze za małe do butów, które otrzymał, bał się, bo nie przygotował jeszcze nóg do takiej wędrówki. A wyposażono go dobrze. Dostał skórzaną czapkę, płaszcz, nie do końca cały, używany, z zacerowaną dziurką na ramieniu - wystarczy zadbać, żeby szwy dobrze trzymały, może nawet uda się przyszyć łatkę... Nie miał jeszcze celu, nie chciał wyruszyć. Serce drażyły jakieś nienazwane obawy. Wiedział tylko, że nadszedł czas i że jeśli nie pójdzie teraz, pragnienie i tłumiący je strach będą wciąż rosły. Zaufał więc, skoro mu powiedziano "czas w drogę".

Zabrał, co miał, lepsze i gorsze. Przekroczył próg. Pokonał tyłem kilka kroków znajomej od zawsze ścieżki. Raz jeszcze przyjrzał się swojej ostoi, w razie czego - wróci, nikt tutaj nie przestaje przecież kochać.

Spotkał starca. Dokładnie wtedy, gdy zabudowania już się przeredzały i prawie widać było mgły nad rozstajem. Starzec odprowadzał go spokojnym wzrokiem. Siwa broda spoczywała na piersi. Mówiono, że spękania zmarszczek na twarzy to jego ścieżka. Zawsze miał szeroko otwarte, uśmiechnięte oczy. Włosy na głowie sterczały w różne strony, żyjąc jakby własnym życiem. Zapytany chętnie opowiedział o wielu, którzy szukali drogi. Czasem cel zmienia się w oczach idącego, są tacy, którzy nigdy nie żałują. Zdradził, że najszczęśliwsi są ci, którzy znaleźli światło, a ono czeka na każdego. Później wdzięczne płonie w ich oczach. Każdy, kto chce do niego iść - może, przecież ma wiele źródeł. Kiedy starzec ofiarował mu słowa, słońce wschodziło jasną łuną. Teraz miał więcej sił.

Droga wydawała się zarazem daleka i bliska. Gdyby znał jakiś skrót, zapewne poszedłby nim, lecz nie wiedział jeszcze na pewno, w którym kierunku chciał zmierzać. Zawsze nęciła go ta władza, teraz możliwość wyboru kazała patrzeć w dal. Ale trzeba też patrzeć pod nogi. Aksamitny zapach zmusił go do przymknięcia oczu, a kamień - do potknięcia. Znany skądś aromat mieszał się z wiatrem i otulił wirującymi liśćmi. Młodzieniec na próżno szukał w pamięci jego źródła.

Wygrzebał się z liści. Trzeba iść w las, chciał się przez niego przedostać, zanim zapadnie zmrok, a z każdą chwilą zwłoki stawało się to mniej prawdopodobne. Było tam ciemniej, niż się spodziewał. Dobrze, że światło dnia, choć liche, bo odgrodzone przez sterczące korony, oświetlało jeszcze ściółkę. Przynajmniej widać, po czym się idzie.

Obrana ścieżka wydawała się co prawda słuszna, ale absolutna pewność byłaby pomocna. Kroki powoli stawały się coraz cięższe. Chyba buty nie dopasowały się jeszcze, choć były mocne i pewne, dobre. Jeszcze tylko przejść przez las, potem odpocznie. Powietrze zaczynało ciążyć w płucach, źrenice wpuszczały mniej światła, mięśnie domagały się rozluźnienia. Gałęzie zdawały się nachylać z cichym trzaskiem ku niemu. Szmer liści i trawy pod stopami zaczął drażnić.

Zaszedł już na tyle daleko, by poza drzewami nie widzieć nic wokół. Przestał patrzeć w dół, kiedy poczuł ruch. Pod jego stopami wily się stworzenia. Niektóre małe, tłuste, inne

sztywne, leniwe, twarde. Zdawały się zajmować całą wolną przestrzeń na ziemi. Wolał się im nie przyglądać, żeby obraz nie został pod powiekami, kiedy je przymknie. Przyszłość była mglista, drzewa rozmywały się. Te na wyciągnięcie ręki kierowały gałęzie ku niebu, dawały oparcie, ale co będzie, jeśli następne nie zechcą? Nie, nie mógł patrzeć zbyt daleko przed siebie. Trzeba iść dalej, tylko gdzie skierować zmęczony wzrok? Nie mógł wciąż śledzić tego, co pod nogami. Nie potrafił. Wszystko powoli cichło. Wtedy dostrzegł coś niezwyklego. Nie znał konstelacji, choć uwielbiał je oglądać.

Mgliste punkty pojawiały się nieśmiało wśród granatowych przestworzy. Nie dawały wiele światła, ale tłumiły mrok. Ich jasność była pewna, jakby światło świadome swej trwałości. Drzewa za podporę. Tylko się nie przewrócić. Znow w górę. Im dłużej obserwował, tym więcej dostrzegał punktów. Tańczyły. Nie były ciepłe ani zimne, nie kusiły, jedynie pragnęły być zauważone. Światłość chciała prowadzić. Cel. Drzewa przeredzały się - zaraz znajdzie wyjście.

Wiatr stawał się coraz śmielszy. Młodzieniec otulił się ciaśniej płaszczem. Pokazał się ostatni element lasu. Żadne potężne drzewo, ledwie sadzonka, jakby patyk sterczący z ziemi. Otoczony liśćmi starszych. Dobre miejsce na przystanek. Za ścianą drzew, ledwie parę kroków po wilgotnej trawie, rozciągała się dolina. Ogromna i miękka. Tam kierowały się światła, tam tańczyły. W pulsującym, nieustannym ruchu wypełniały pierś zachwytem. Ciemność nie niosła już niepokoju, nie była więcej nieprzenikniona. Z jaśniejących punktów mógł czerpać siłę. Nadzieja była tu niemal namacalna, dawała się poznać. W powietrzu krążyły nieznanne dotąd uczucia, nowe pragnienia pozwalały się wyrazić.

Maria Głowienka

Opowiadanie zamieszczone w zbiorze „Drobiazgi”, który wysłano na Ogólnopolski Konkurs Literacki Ridero „Misja - książka!” w 2017 roku.



Ilustracja: Marcin Derda

Najpiękniejsza rzecz, jakiej możemy doświadczyć, to oczarowanie tajemnicą

11 lipca

Co o sobie myślę? Mówiąc szczerze, wolę myśleć o poezji, która doprowadza do łez, portów śródziemnomorskich i pustych sal muzealnych, w miejsce nadmiernego analizowania siebie. Chociaż lubię malować obrazy w mojej głowie: mnie kąpiącej się w rzekach, swobodnie wędrującej przez łąki lub mieniącej się w nocnych światłach Rzymu. Ale to jest definicja śnienia na jawie, co z pewnością nie dodaje mi wiarygodności.

Ostatnio marzyłam w obcych językach, w językach nieznanymi mór. Ubiegłej nocy wędrowałam po marmurowej willi zdobionej złotem i freskami. Opowiedziano mi mit o starszej siostrze, której krew płynie teraz w drzewach magnolii, śpiewano mi też smutne hymny rozbitych muszli. Na nadgarstkach miałam nektar, pomarańczowe kwiaty we włosach, rosa spływała mi po policzkach. Wszystko lepkie było od złota, krwi i miodu.

Czułam się jak dziecko wspinające się po sierści białego królika, łapczywie i nieostrożnie, aby jak najszybciej wystawić głowę ponad nie i dojrzeć, co znajduje się „tam”. Byłam jak Zofia z powieści Josteina Gaardera – spragniona nie tyle odpowiedzi, co samych pytań. Pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy usłyszałam słowa *Świat Zofii*, a padły one z ust rygorystycznej nauczycielki języka polskiego, podczas mojego drugiego roku w gimnazjum. Zaciekawiona entuzjazmem i czułością, z jaką się o niej wyrażała, postanowiłam zerknąć na półki szkolnej biblioteki. I znalazłam tam JA. Przyciągał mnie już sam widok opartych o siebie *Zofii* w pomarańczowych okładkach, z lekko pomarszczonymi grzbietami. Urok tej książki zadziwia mnie do dziś. Śledząc wzrokiem linijki tekstu na krystalicznie białym papierze czułam się, jakbym odkrywała całkowicie nową rzeczywistość, co dla czternastoletniej dziewczyny było potężnym doznaniem. W tytułowej bohaterce widziałam siebie, chodziłam tymi ścieżkami co ona, razem z nią otwierałam listy od tajemniczego nauczyciela i rozmyślałam nad naukami Platona. Historia Zofii stała się dla mnie kotwicą, którą zarzuciłam na brzegu mojego dzieciństwa. Dzięki niej odkryłam piękno i prostotę filozoficznych nauk, które tak wielu odpychają swoją pozorną złożonością, a w nich ukrytą cząstkę samej siebie. Ilekroć spaceruję bez celu po pobliskim lesie, czuję się jak moja własna wersja Alicji Lewisa Carrolla, jak Zofia w Krainie Czarów. Fascynuje mnie ta część ludzkiej natury: jak łatwo jesteśmy w stanie przekształcać rzeczywistość, tak naprawdę wcale w nią nie ingerując.

Ostatnio marzyłam w obcych językach, w językach nieznanymi mór. Ubiegłej nocy wędrowałam po marmurowej willi zdobionej złotem i freskami. Tym razem to ja usiadłam wewnątrz kręgu i opowiedziałam historię. Była ona o zarumienionej dziewczynce z chłodnymi dłońmi, która zabierając do domu książkę w pomarańczowej okładce nieświadomie odkryła coś czystego, nieskazitelnego. Odkryła tajemnicę wiecznego dziecka, które każdy z nas ma w sobie i prawie każdy jest tego nieświadomy, a to w jakiś sposób było dla niej wszystkim.

31 lipca

Gdy jako dziecko po raz pierwszy zetknęłam się ze zbiorem mitów greckich, nic nie poczułam. Były to dla mnie



Rutyna

Jadę z ciemną twarzą
w grafitowym świetle mar.
Słucham jak wyją
wszystkie mroki tego świata.
Czuwam z ognistym odbiciem
w szepcie próżnych treści,
które chcą ukoić mnie nad
przepaści papierowym brzegiem.
Wsuwam się w objęcia
stworów, rysowanych jawy głosem,
nie ma w nich odgłosu bicia.
Chowam się głębiej i przykrywam
słowem złym, ściągającym w nicość.
Potrzebuję jak ryba
nowej ścieżki dźwiękowej.

Marznę

Marznę, patrząc w białą kartę nad twarzą,
na sklepienie wszystkich świąt i zim.
Nie rozmawiam z nią uważnie, oprócz
czasu kiedy chowam się kamieniem
na poduszkę, bo nie lubię kłamać,
że wciąż rażą mnie strumienie dnia.
Ale wtedy, kiedy ją dostrzegam,
szepczemy sobie wszystkie ły
i ściskamy kości. Nie oceniamy:
płaskie białe niebo i kanciasty, mały twór.

Radzimy sobie, możemy łącać swoje
dłonie. Ktoś jest, ale nikt nie odpowie.
Tak jest dobrze.
Można marznąć i nie myśleć,
że ktoś już zamarzał.

Lidia Tańska

Wiersze zdobyły I miejsce w XXVII Międzypowiatowym Konińskim Konkursie Poetyckim im. Bogusława Janiszewskiego "Poezja młoda - poezja nowa" w 2018 roku.

udziwnione opowiadania z mnóstwem trudnych do zapamiętania imion i symboli. Nie potrafiłam pojąć ich znaczenia, więc nie znajdowałam przyjemności w ich czytaniu. Do pewnych rzeczy trzeba dorosnąć. Teraz, kilkanaście lat później, nie spoglądam w gęstą otchłań nocy obojętnie, lecz myślę o potężnej Hekate, która kierowała zagubionych na rozdrożu. Owoce jabłoni przypominają mi o sprawiedliwej, lecz mściwej Nemezis, która u boku Eryinii stała na straży równowagi świata, a zapach wawrzynu powoduje, że myślami wędruję ku Dafne, uciekającej przed niechcianym uczuciem.

Ubiegłego wieczoru szcztokowałam moje włosy. Niebezpieczeństwo dnia i jaśmin opadły. Słodki wiatr tańczył na tle pełnego księżyca. Persefona odziana w czerwień granatu wspominała wiosny spędzone z matką. Jej pierwsze imię, Kore, oznacza *młodą dziewczynę*. Drugie, które nosi przez okres astrologicznej jesieni i zimy, wywodzi się z języka obcego Hellenom, *perin phonon* oznacza *przynosić śmierć*.

Persefona dumnie nosi miano bogini świata umarłych jak i wegetacji, jest symbolem odrodzenia i nieśmiertelności. Jest ona wykluczeniem, zaprzeczeniem i harmonią. Boginią o dwóch obliczach. Dla mnie jest jak bohaterka ulubionej książki, o której zdolna jestem czytać godzinami w chłodnym cieniu drzew. Dzięki niej potrafię znaleźć wyjaśnienie dla wykluczających się emocji, szalejących w moim wnętrzu. Największe przywiązanie czuję do rzeczy i osób, w których, świadomie lub nie, dostrzegam cząstkę siebie. Fascynuje mnie tajemnica tej więzi. W jaki sposób ktoś wiedział, co sprawia, że nie mogę zmrużyć oka przez całą noc, co kłuży mnie z tyłu głowy, a o czym nikomu nie mówię. Odnajduję to wszystko w Persefonie, w personifikacji tego, co kwitnie, jak i tego, co obumiera.

Lecz skupienie się na jednej myśli, idei osoby, wyobrażeniu rzeczy nie leży w mojej naturze. Obok sprzeczności Persefony zajęłam miejsce dla nieokiełznania Artemidy. Piękno rzadko kiedy jest delikatne i kojące. Prawdziwe piękno odnajduję w rzeczach niewygodnych, alarmujących. Widzę je w nieposkromionym duchu bogini fauny, przemierzającej nocą górskie doliny i gaje, w samotności, jaką sama dla siebie wybrała, w gniewie, który odebrał życie niejednemu. Boginie nie potrafią szeptać, one krzyczą.

Odkryłam tajemnicę wcale nie ukrytą, bo opisaną wiele wieków temu. Starając się zrozumieć wizerzenia Helenów, zaczęłam lepiej rozumieć siebie. Byłam przerażona gonitwą myśli, kiedy w mojej głowie było wszystko i nic. Ostatniego wieczoru, gdy szcztokowałam moje włosy, a noc otuliła wszystko wrażeniem bezpieczeństwa, dostrzegłam nierozdzielalną więź pomiędzy życiem a mitem.

Potrzebuję Persefony, aby pogodzić się z moimi sprzecznościami oraz faktem, że żaden kwiat nie kwitnie przez cały rok, więc i ja nie mogę wymagać tego od siebie. Potrzebuję Artemidy, kiedy próbuję określić swoją wartość ilością osób, które zwracają na mnie uwagę i kiedy silne emocje stają się powodem do wstydu. Potrzebuję tajemnic, aby nie stracić apetytu na życie i uciszyć czasem wewnętrzną burzę z piorunami. Potrzebuję szukać we wszystkim kawałków siebie, dopóki nie złożę pełnego obrazu.

17 sierpnia

Kocham się w niemieckich żołnierzach, których moja babcia potajemnie widywała nad rzeką, gdy miała siedemnaście lat. W człowieku, który cytował Dostojewskiego w Sankt Petersburgu. Zakochuję się w ludzkich ideach, piszę o nich całe powieści w mojej głowie. Ostatnio coraz trud-

niej jest mi rozróżnić jawę od snu.

Odbijam się w nieskazitelnych lustrach Wersalu, kiedy stukając białymi bucikami po marmurowej podłodze, liczę pozostawione za mną kroki. Patrę w nieobecne oczy Wenus, słuchając jej smutnej pieśni, na którą nikt nie zwraca uwagi w blasku dnia. Stronię od wszystkiego, co ludzkie i znajome. Pragnę odkryć wszystko sama.

Ktoś kiedyś zagłębił się w intymnej relacji z kamieniem, który wydaje się być bardziej żywy w jego wiecznym bezruchu, niż ludzie w swoich blaknących, codziennych gestach. Na jego powierzchni pozostały ślady delikatnego, zdecydowanego dotyku, który zbudził młodą Psyche ze snu. Antonio Canova dał kochankom intymność. Zamknięci w płataninie własnych rąk zdają się nie widzieć ogromu ludzi bezczelnie oglądających ich chwilę słodkiego uniesienia od wschodu słońca do zmroku. Mistrzostwo autora jest bardzo subtelne. Zharmonizowane ze sobą postaci nie dają wrażenia chaosu, mimo to gesty uskrzydłonego chłopca i kobiety w jego ramionach przesycone są dynamizmem. Delikatność rzeźby oczarowuje, a tajemnica jej powstania wzbudza poczucie żalu, że nikt nie uchylił mi rąbka jej tajemnicy.

Psyche w mitologii greckiej jest personifikacją ludzkiej duszy, Amor-uczucia. Dzieło Canovy to znacznie więcej niż błogość pocałunku, piękno przedstawienia. Pełna nazwa rzeźby to *Psyche budzona przez pocałunek Kupidyna*. Marmurową Psyche jestem ja, jest nią Zofia i Persefona. Amor to nie postać, lecz doznanie, ulotna chwila. Pocałunek jest metaforycznym momentem wyrwania duszy z otępienia, rozlania się po ciele znajomego uczucia ciepła.

Tej nocy śniłam o dziewczynie z kwiatami we włosach, która z każdym krokiem zostawiała za sobą oderwane płatki. Nie liczył się czas, więc szła na bosych stopach bez pośpiechu. Z każdym oddechem jej płuca wypełniały się wonią magnolii, życia i niebezpieczeństwa, w które miała zamiar wejść bez zastanowienia. W dzieciństwie oczarowała ją tajemnica, bała się potworów żyjących w ciemnych kątach pokoju i szukała wróżek ukrytych w opuszczonych ogrodach. Później ukojenie znajdowała w fantastycznych i cudownie nierealnych opowieściach, chciała stać się wróżką lub potworem. Teraz, świadoma nieskończoności nieodkrytej poezji, olejnych Arkadii oprawionych w drewniane ramy i języków odległych mórz, nie dostrzega różnicy pomiędzy snem a jawą. Pragnie słyszeć syreni śpiew w drodze do sklepu i poznawać sekrety Sokratesa pod ciemnym niebem. Dziewczyna stała się tajemnicą, której zawsze pragnęła i poszukiwała, a której jej samej nie uda się zgłębić.

Weronika Jońska

Utwór otrzymał Wyróżnienie II stopnia w XVI Ogólnopolskim Konkursie na Pracę z Literatury dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych w Katowicach w 2016 roku.



Wielcy końca XIX w.

*Kto przejmie się impresjonistycznym wschodem słońca?
Lekcja tańca już się odbyła,
Bal w Moulin – impreza zakończona.
Huśtawka. Parasolki. Dziewczyny przy pianinie.
Delikatność.
Ich świat - inna codzienność.
Gwiazdy postimpresjonistycznej nocy,
To już inny blask.
Piękno chwili.
Możemy pozazdrościć.*

Olga Bejm



Wiersz wysłany na Konkurs Poetycki „Barwy życia – barwy poezji” w 2017 roku.

Nasz Świat

*Nieznana przestrzeń,
lecz wszystko wygląda tak samo.
Idę przed siebie.
Północ - południe.
Runo łaskocze mnie w kostki,
rosa kapie na głowę.
Wydawałoby się, że jestem sama.
Pomyłka.
Potykam się o butelki po coli,
świeże opakowanie z resztkami frytek.
Piknik w samochodzie,
tęczowy ślad.
Kultura poszła w las.*

Olga Bejm

Wiersz wysłany na XIV Powiatowy Konkurs Poetycki „Zielone Rymy” w 2017 roku.



Ilustracja: Aleksandra Lewandowska

Kolekcjonerka

Według mitologii Celtów, jeśli opuszczając miejsce spoczynku zmarłych, pozostawi się grób w stanie innym od tego, w jakim się go zastało, duchy znieważonych podążą naszym śladem. Tak twierdził podręcznik do historii dla szkół wyższych, zredagowany przez grupę osób o dziwnych i mało realnych nazwiskach. Przy tym fragmencie książka miała niewielkie wybrzuszenie, spowodowane uschniętym liściem, wepchniętym między zadrukowane kartki. Jedno z wielu wybrzuszeń; nieco wcześniej, między stroną 75 a 76, wystawała łodyga niezapominajki, bliżej środka kolejny fragment oznakowany został pisklęcim piórem, a ta jedna ciekawostka o paleniu czarownic w Salem ukrywała kawałek postrzępionej wstążki. Właścicielką podręcznika była kolekcjonerka. Czasem zbierała znaczki, czasem guziki, innym razem kawałki potłuczonej porcelany, jeśli takie wpadły w jej ręce, a nazywała się Ronja. Imię, równie rzadko spotykane, co jej pasja, widniało na wnętrzu okładki, zapisane nieco chaotycznym pismem. Ronja zbierała małe i nic nie znaczące dla świata obiekty (bez konkretnego przeznaczenia, może poza uczuciem łagodnego blasku, jakie dawała jej sercu ta czynność).

Cmentarna zieleń, prapoczątek wylanych łez. Zmienia się pora, dni pełne bladego światła, śmiechu szumiącego w suchych liściach, mokrych od czerni nocy, tylko wiecznie zielony mech trwa przy obietnicy. Ludzie stworzyli to smutne miejsce, zbudowali ściany z tęsknej goryczy, aby móc wracać. Lato nie istniało w świecie Ronji, bo nie pamiętała jego smaku. Czuła się, jak gdyby podróżowała w czasie; czerwiec, lipiec, sierpień. Oprócz cierpkiego śladu na końcu języka, mogłoby się zdawać, że po okresie kwitnienia nadszedł od razu październik. Ostatnia deszczowa pogoda zmoczyła cmentarną glebę, zmuszając odwiedzających do lawirowania pomiędzy padołami przemokniętych liści. *Danse macabre* - pomyślała. Jeden z czerwonych kaloszy ześlizgnął się w błoto, kiedy Ronja przeskoczyła przez kałużę. *Taniec śmierci, strona 127, bilet do wesołego miasteczka z pierwszej randki rodziców*. Kiedyś jej mama opowiadała o tym dniu. Mówiła, że włosy taty były odrobinę za długie, a karmelowe jabłka zbyt słodkie, ale było to jedno z jej ulubionych miejsc do wracania. Ronja lubiła wsłuchiwać się w historię,

nawet jeśli nic z nich nie rozumiała. Czasem, gdy jej mama krzątała się w kuchni, otwierała przeszklone drzwi witryny i z albumem wypchanym po brzegi zdjęciami siadała skulona pod stołem. Ronja uważała, że czarno-białe fotografie bardziej przypominają mary senne, niż prawdziwe życie. Ludzie na nich byli jak duchy, niezgrabnie uchwycone w obiektywne aparatu. Chwile, wydarte z czasu, zdawały się pochodzić z innej rzeczywistości. Ronji podobało się tworzenie własnej wizji świata. Taką samą przyjemność sprawiało jej czytanie o ludziach, którzy zostawili po sobie ślad w historii. Żałowała, że nie istnieje słowo, mogące określić naiwne pragnienie poznania tych dawno umarłych. Czasem udawała, że do nich mówi, a oni w ciszy słuchają. *Rozmawiam ze zmarłymi, kiedy tylko mam ku temu okazję* - mawiała.

Ten błotnisty cmentarz był miejscem do wracania Ronji. Czasem jej odwiedziny trwały zaledwie mrugnięcie powieką, czasem całe godziny. Tym razem dziewczynka zdecydowała się przejść przez zardzewiałą furtkę i wydeptaną ścieżką skierowała swoje kroki w stronę kościoła. Wiatr smagał jej odsłoniętą twarz, a zęby szczękały nierówno. Ronję można było zastać, od czasu do czasu, siedzącą w kościelnej ławce, z dłońmi ukrytymi w rękawach swetra, z dziennikiem spoczywającym na kolanach. Przychodziła tam, aby kolekcjonować. Zbierała zapach palonych świec i mętnego kadzidła, notowała pieśni podczas próby chóru, zapamiętywała twarze ludzi, którzy, pośród zmatowiałych witraży, poszukiwali zrozumienia. Ronja lubiła starszą panią, która dbała o to, żeby kwiaty miały zawsze wazon pełen wody, organistę, który pachniał jak pomarańcza nadziewana goździkami i raz zapytał, czy nie przemoczyła sobie płaszcz; chłopca, który usiadł obok niej, że wzrokiem skupionym na obrazie w mosiężnej ramie i wyszedł po kilku głębokich westchnieniach. *Dlaczego dłonie tej pani są tak spracowane? Może ma własny ogród, który obdarza troską równą kościelnym kwiatom? Czy organista lubi pomarańcze? Czy chłopcu podobał się obraz?* - kartki dziennika tonęły w pytaniach, a ich liczba zwiększała się z upływem czasu. Dostrzeganie detali dla Ronji miało charakter służby, którą starała się rzetelnie wypełniać. Obawiała się, że jeśli nie napisze o brakującym guziku, czerwonych policzkach, nieobecny wzrok, te rzeczy zostaną brutalnie pominięte. Czują ukłucie w sercu na myśl, ile drobnych detali przepadło na kartach historii tylko dlatego, że zabrakło osoby, która dałaby im szansę na przetrwanie. *Czym różnią się przedmioty zniszczone przez czas od ludzi umarłych?* - to pytanie nawiedzało Ronję. Miejsce zapomniane przez żywych, kochane przez tych, którzy wracają.

22 października

kałuże, w które wpadłam: 4; zwiędnięte kwiaty: 7; ludzie, którzy wracają: 1.

Przyszłam dziś wcześniej niż zwykle, jestem tu całkiem sama (jedyna oddychająca osoba). Nie udało mi się spotkać Pani Od Kwiatów, przyniosłam jej kilka ciastek, które upiekłam zeszłej nocy. Może zajmuje się swoimi liliami, te kościelne zaczęły już opadać, wyglądają, jak gdyby płakały po swej pani. Powietrze jest coraz chłodniejsze; przy każdym głębszym wdechu moje płuca rozszerzają się, jak gdyby chciały się napawać możliwością swobodnego oddychania. Wydychanie małych chmurek pary daje mi dziwny komfort. Organista nie dotykał dziś jeszcze instrumentu, drzwi prowadzące do chóru są zamknięte. Wosk ze świecy pobrudził marmurowy stół (ktoś potrafił ją dłonią?). Nie spotkałam też chłopca, który podzielił się ze mną chwilą ze swojego życia.

Zewnętrzna powierzchnia witraży jest mokra od deszczu, musiało padać całą noc. Jestem dziś sama.

Ronja ratuje drobne, przeoczone obiekty, wywołuje cichą rebelię przeciwko upływowi czasu. Boi się, bo wie, że ludzi nie można uchronić przed tragicznym losem. Stojąc na zimnie, czuje się eteryczna, niemal dorównująca widmu. Wiatr jest jedynym dźwiękiem, kiedy Ronja wyciąga dłoń ku głębokim korzeniom i schodni niżej. Pragnie utonąć w azylu dusz, być pół świata stąd, zgubiona i odnaleziona jak stara, poszarpana wstążka. Natarczywy księżyc oświetla kamienne inskrypcje, które już dawno straciły znaczenie, a znają je tylko ci, którzy odeszli. To tutaj wszystko się zaczyna, ludzie upadają, płuca przestają służyć swym panom, wzrok wędruje w głąb ciała.

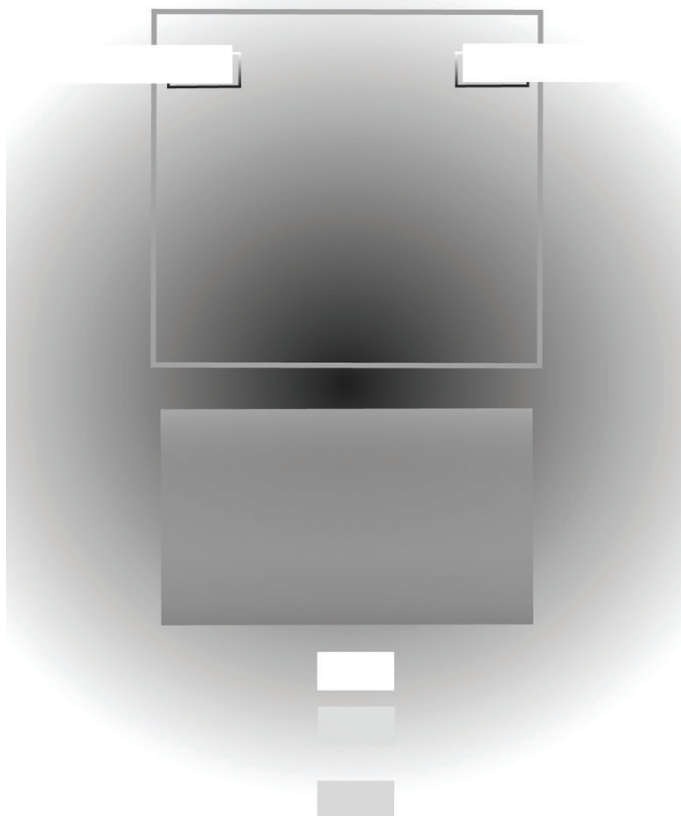
Ronja, poruszona chłodem, liczy nagie drzewa. Musi wszystko pamiętać, to czyni ją żywą i odróżnia od bezmiejscowych nagrobków. Opowiada o zagubionych chłopcach z głuchymi oczyma i bolącymi sercami, którzy odeszli zbyt dawno, aby pamiętać czym jest dom. Pisze o dzielnych dziewczynkach, dla których zima była zbyt sroga, które dla innych były tylko ewentualnością. O dorosłych, którzy pragnęli znów poczuć się bez troski, o dzieciach, które za wszelką cenę uciec chciały od smutnej dorosłości. Wszystko odbija się w niej echem - kościół, śmiertelny taniec, wazony trujących kwiatów. Jej serce jest muszlą, którą ocean wyrzeźbił w swoich dłoniach, źródłem niebiańskiej muzyki lub pustym odłamkiem fauny. W jej żyłach płynie krew ojców i matek, lecz myśli zapisane ma w obcych językach. Kroki do walca, stąpione łyżwy, rozstrojony fortepian, drobiazgi, drobiazgi. *Kim chcesz zostać, gdy wездzie księżyc?*

Ronja opuszcza mury kościoła dopiero, gdy światło dzienne nie jest już w stanie jej dosięgnąć. Nie myśli o zaschniętym błocie na czubkach czerwonych kaloszy, o rumianej od zimna twarzy, ani o dzienniku, którego kształt rysuje się w lewej kieszeni jej płaszcza. Skrzypnięcie znajomej furtki dziewczynka zna jak głos własnej matki. Mokra ziemia zapada się pod jej stopami, kiedy Ronja mija wizerunek płaczącej kobiety, której kamienna sylwetka okrywa nagrobek ukochanego. Na marmurowej płycie, kilka kroków dalej, połyskuje złamana w pół róża. Wyrzeźbione z precyzją płatki, wciąż w formie zamkniętego pączka kwiatu, odbijają okrągłą sylwetkę księżycy. *Kwitnąca róża symbolizuje wiek kobiety, w postaci drobnego pączka lub w pełni rozwiniętego kwiatu. Złamana łodyga, pokryta kolcami, świadczy o przedwczesnej śmierci. Ukochana w epoce wiktoriańskiej. Ronja poczuła ukłucie w sercu. Strona 241, fotografia z zaślubin babci, 1958 rok.*

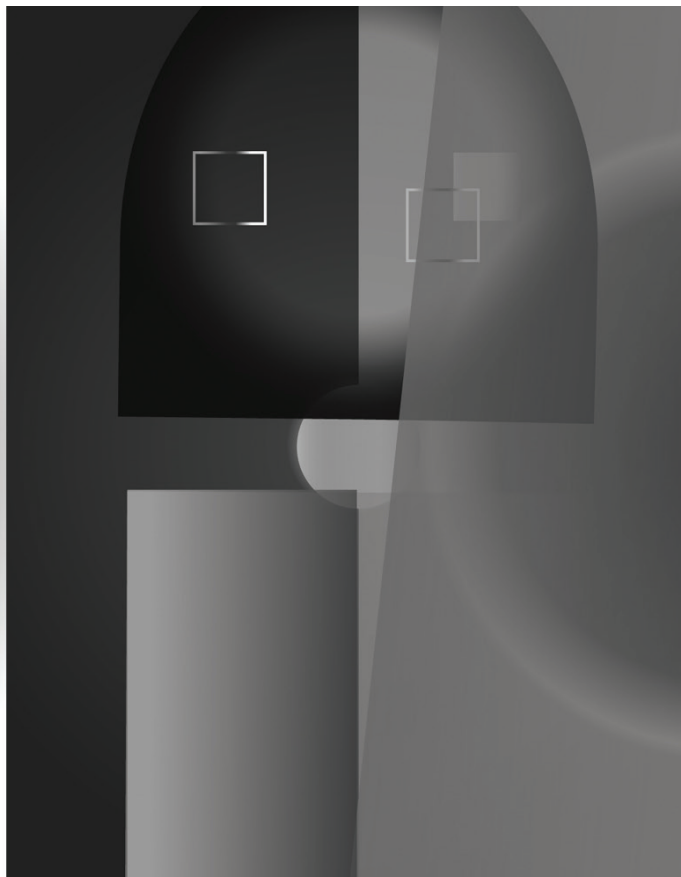
Noc zdawała się otulać świat ciepłym kocem, pod którym można ukryć wiele rzeczy. Kolekcjonerka uratowała tego dnia wiele drobnych istnień, obdarowując każde z nich ich własnym skrawkiem papieru. Powietrze zamarło, idealnie nieruchome, cisza pozostała niezakłócona, niczym wieczer w zastygłych Pompejach. Ronja wypełniła swoją powinność. Martwi mogą śnić w spokoju.

Weronika Jońska

Opowiadanie zamieszczone w zbiorze „Drobiazgi”, który wysłano na Ogólnopolski Konkurs Literacki Ridero „Misja - książka!” w 2017 roku.



Ilustracja: Marcin Derda



Dzieci z innej matki

*Wznosimy telefony do nieba,
Boże, daj nam pięć kresiek,
zwróć nas metalowym wzgórzom,
oddaj rzekom utwardzonym,
daj nam konie z gumową podkową
i chroń nas od natury złośliwości starej,
co by chciała tylko dla siebie
nasz dom, zakrywając go brudem
i odorem nieudolności jej bez
ludzkich rąk.
Oddziel krainy bez mleka
i drucików na sklepieniu,
chodzące boso po zmarzniętej ziemi,
bo już nie ma nas w jaskiniach mieczy i drewna.
Kiedys nie będziesz nas karać ziemi,
gdy kapsułką nakarmimy dzieci jutra.
Pochowają się słabi sprytem, podtopieni
w twoich pocałunkach człowieczeństwa.
Zostanie człowiek
i pięć kresiek.
Wszędzie.*



Lidia Tańska

Wiersz zdobył I miejsce w XV Powiatowym Konkursie Poetyckim na wiersz o tematyce przyrodniczo-ekologicznej „Zielone Rymy” w 2018.



Ilustracja: Aleksandra Lewandowska

(nie)Kronika

Drzenie szyby niosło się na grunty
chłonnych myśli, dokarmianych tłącym się
ogniskiem nadziei
(dym, szum i szept napędzały noc).
Wszystko, co było idyllą
odcinała niewidzialna ściana,
cała brudna, naznaczona
opuszkami kilku szeregów głów.
Niektórzy urodzili się, patrząc na ścianę,
okiem tupiąc, to wstydząc się,
nie znając świszczącego oddechu
uniesienia w stan nieskrępowania nadgarstków.
Przewijały się w odstępach kilku modlitw
salwy czołem kruszące grube szkło
(rysował cynober z żył kapiący:
1831, 1864, zacierając widok drugiej strony).
Słowa cedzące klęski miały różne zdania,
do biegu popychając, to każąc znosić ból
ku odkupieniu. Łamały się kości, pękały czaszki,
wynosząc w górę umysły osadzone blisko ziemi
(organicznie szukające okazji).
Ściana znowu falowała
z trzech stron, skrzypiąc z nieba czarny pył,
a cienie pożerały ciała w bratobójczy wir.
Lecz wyło, kwiliło nakruszone szkło
(to zaczął śpiewać chór bitewny,
obudzony z wiekowego snu), aż ... huknęło.
Drugą stroną jak spłoszone zwierzę
pochwyć łatwo się nie dała
i od legionów pieśni do cudów nad Wisłą
wierzgała wielką wolnością, póki atramentem
oraz krwią, nie oswoili ją ojcowie, nucąc,
że Polska ... jest.

Lidia Tańska

Wiersz wysłany na Ogólnopolski Konkurs Poetycki z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości pod nazwą „Myśmy wciąż do Niepodległej szli...” w 2019 roku.

Rzeczywistość

Otwarte oczy, w mocno zaciśniętych powiekach.
Słyszę szepty ludzi, idą pod prąd.
Ogarnia mnie bezwład.
Szara flora rośnie do dołu,
ziemia przykryta plastikiem,
powybijane okna świecą strachem.
Kto to?
Nasi ulubieńcy witają wszystkich przed sklepem,
zataczając wesole kółka.
„Cześć, mała” -
uciekam do domu.
Na klatce słyhać słodki krzyk,
pierwsze piętro, drugie, bez windy - ósme.
Skrzypienie drzwi, chce mi się śmiać,
on znowu wylicza nieswoje słabości.
Zostało mi jedno miejsce, ciemność pod kocem.
Nareszcie spokój.

Zupa

Męcę zupę o smaku smutku,
doprawili ją rozpaczą.
Zagubiona macham łyżką.
Czuć posmak rutyny.
Dół, góra, dół, dół.
Chwila nieuwagi.
Tak wiele umyka.

Olga Bejma

Wiersze wysłane na Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Stanisława Czernika w 2017 roku.



Ilustracja: Aleksandra Lewandowska

Konfrontacja

Potrzebuję potrafić wypowiedzieć
Te słowa, które tak bardzo drapią
Duszę
Się
Zamknięta w czymś pokroju głowy.

Kątem oka widzę w oknie swoje odbicie,
Przymykające cienie złudnej wolności
Niczym chmury w głębi kałuży
W którą wdeptujesz całkiem niespecjalnie.

Milczę
Rozdarte niebo przecież
Nie krzyczy ponad to,
Niż jest to potrzebne
Dla zaspokojenia próżni.

Weronika Szczepaniak

Wiersze zdobyły I miejsce w XXVIII Międzypowiatowym Konińskim Konkursie Poetyckim im. Bogusława Janiszewskiego „Poezja młoda - poezja nowa” w 2019 roku.

Paź Snów

Arbores loqui latine. Drzewa mówią po łacinie. Wybrały dla siebie martwy język, nic, co robią nie jest przypadkowe. Dokonują w ten sposób doboru naturalnego, bo tylko wybrani usłyszą ich pieśń.

Tej nocy Nila śniła o drzewach. Otworzyła oczy w potężnym lesie, gdzie wiązy i olchy wyrastały z wilgotnej gleby. Kilka ziarenek znalazło się pod jej paznokciami. To wszystko przypominało jej nimfy, tańczące z podmuchami wiatru, pnące się w stronę Słońca. Pod stopami czuła ciepło Ziemi, jej tętno pulsujące w każdym korzeniu, w niej samej. Jej wiek. Zawsze budziła się we śnie, nadal w nim tkwiąc, zawsze pośród zagubionych gawronich piór, niczym opadłe liście. Nila dorastała pomiędzy tymi drzewami. W jej żyłach płynęło wino, jej krew była miodem. Jej kości były z marmuru, a włosy ze srebra. Była, sama w sobie, ofiarą dla bogów. Wszystko to splatało się z leśnymi korzeniami. Drzewa oddychały w niej, napełniały jej płuca tęskną słodyczą. Szeptaly jej imię *Nila, dulcis Nila*.

Była sama z rzeczami, o których śniły drzewa. Jeśli śniły one w jej śnie, to czy w takim razie nie były jej snami? *Nila, fortis Nila*. Balansowała na krawędzi ostrza, pomiędzy jedną rzeczywistością a drugą. Śniąc w ten sposób, była niczym królowa, mogła rządzić każdą ulotną drobinką swojego królestwa. Mogła je spalić.

Kiedy Nila była mała, zobaczyła ducha. Nie obudził w niej złych emocji, właściwie nie wiedziała, co powinna czuć, widząc delikatną postać unoszącą się za szklaną taflą. Świat po drugiej stronie lustra, świat ducha, był inny. Jakby pozbawiony konturów i wyraźnych kontrastów, poważnych słów i ciężkich oddechów. Porządkując myśli, nie potrafiła opisać go znanymi jej słowami, był marą senną, rządził się własnymi prawami. Już wtedy postanowiła go zbadać, zapuścić się w kolczaste krzewy wyobraźni i poznać granice świadomości.

Z późnego dzieciństwa Nila pamiętała swoją babcię. Od znęcania się nad parkowymi wiewiórkami wołała odkrywaniem koron drzew, zadrapane łokcie i policzki czerwone od biegu wzdłuż zabrudzonego jeziora. Od zabaw z rówieśnikami ciekawsze były popołudniowe herbatki u babci. Staruszka nosiła dumne imię Opal, ze względu na zamiłowanie jej matki do minerałów i kamieni szlachetnych. Nilę, odtwarzającą w myślach „jaskinię” ukochanej Opal, przygniatała kaskofonia zapachów, dźwięków, barw i kształtów. Do tej pory kupuje jaśminowe kadzidła w ezoterycznym sklepiku na

rogu, bo przypominają jej o babcinych pomarszczonych dłoniach i ciepłym sercu. Kiedy o zmroku powietrze wypełniało się wonią jaśminu, a w ceglany kominku tańczył ogień, babcia rozkładała dla niej tarota. Po latach praktyki nie potrzebowała książeczki, spoczywającej teraz w dłoniach Nili, aby interpretować znaczenie kart.

Światło wpadające do pomieszczenia barwiło stare meble i ściany na kolor palonej ochry, nadając im nową tożsamość. Nad wiekowym gramofonem z oderwaną korbką, w czarnej wyszczerbionej ramie wisiała kopia obrazu Artemisji Gentileschi. Nila czytała z płótna jak z kart książki. Mimika twarzy młodej Zuzanny niczym nie przypominała archaicznego uśmiechu, przyklejonego do twarzy jak plaster na zbite kolano. Mała Nila wiedziała. Codziennie czuła się przytłoczona, jak gdyby ktoś naruszał jej prywatność, odbierał prawo do swobodnego oddychania. Dlatego absorbowała ją scena z zamkniętą w pułapce Zuzanną, zajmowała jej myśli po wyjściu z babcinej chatki, w drodze do domu przedzierała się przez umysł i penetrowała jego zakamarki.

Jej kartą był Paź Kielichów. Nila wybrała go, gdy szperała w starych fotografiach Opal, trafiła na satynowy woreczek z talią tarota. Wypadł i tym razem. Babcia, jak mantrę, powtarzała wnuczce, że kryje ona w sobie niebываły potencjał. Ale słowa pozostawały słowami. „Myślę, że marzysz w kolorach, które nawet nie mają nazwy. Gdy śnisz, mówisz w martwych językach. Drogie dziecko, jesteś czymś, z czym nie każdy będzie umiał się obchodzić.”

Pozostawały do dnia, kiedy przed świtem w domu Nili rozbrzmiał dźwięk telefonu. Żadne miejsce nie wydawało się przyjazne po śmierci Opal. Pozostawiona sama sobie, z woreczkiem podniszczonego tarota i letnich wspomnień, Nila szukała znajomego ciepła w gęstym lesie. Paź Kielichów, schowany w przedniej kieszonce podartych spodni, dotrzymywał jej w dzień towarzystwa. W nocy szeptały do niej drzewa.

Arbores loqui latine. Drzewa mówią po łacinie. Wybrały dla siebie martwy język, nic, co robią nie jest przypadkowe. Dokonują w ten sposób doboru naturalnego, bo tylko wybrani usłyszą ich pieśń. Nila, tak, jak jej babcia, słyszała ją; każdą nutę, kwintę, kwartę i pauzę pomiędzy nimi. Krucze zawodzenie pełniło rolę chóru, krążącego uważnie nad koronami olch. „Leśne głosy, jeśli dobrze się wstuchasz, opowiadają mroczne i zawiłe historie - tak zawiłe, jak korzenie i gałęzie są same w sobie” – mawiała jej babcia.

Nila istniała. Była jak miraż, migotliwe wspomnienie, istniała poza teraźniejszością. Słuchała. W jej żyłach odżył zapach jaśminu, zmieszany z wilgotną ziemią i paloną szalwią. Skierowała swoje kroki wąską ścieżką w stronę opuszczonego budynku obserwatorium. Nie była pewna, czy stał on tam, zanim przyszła na świat, czy też wyśniła go podczas jednej z wielu nocy. Wspięła się na niewielkie wzniesienie, czując pod stopami mech, wciąż wilgotny od porannej rosy. Suknia w kolorze kości słoniowej otulała jej nogi. Wiatr wiał tu swobodniej, unosząc ledwie zauważalnie jej zbyt krótkie włosy. Nila mogłaby przysiąc, że las znał jej myśli, wiedział, gdzie chowa swój pamiętnik, czytał z jej oddechu. To było jak wrażenie, gdy ktoś trzyma dłoń tuż nad twoją skórą, nie dotykając jej.

Drzwi obserwatorium zaskrzypiały. Do wnętrza wpadały cienkie smugi światła, rozproszone niczym pajęczka sieć. Przy każdej wizycie, las wyglądał inaczej. Zmieniały się tylko drobne elementy: temperatura spadała lub wzrastała o kilka stopni, akacja, która zwykle kłaniała się do stóp Nili, pięła się wysoko ponad korony drzew, czy też kruki gubiły

śnieżnobiałe pióra. Pomieszczenie, na pierwszy rzut oka, wydawało się niezmienione: zakurzona podłoga, zmatowiałe szyby porysowane od ptasich dziobów, schowany w cieniu teleskop, skierowany na dziurę w dachu i stare marmurowe astrolabium. Powietrze zdawało się dziś wyjątkowo ciężkie, utrudniało Nili oddychanie, napierając na jej zmęczone płuca. Usiadła na drewnianej podłodze i skrzyżowała nogi w kostkach, dłoniom pozwoliła opaść na kolana. W swoim królestwie czuła się potężna, na Ziemi była wojowniczką. W obserwatorium czuła się mała, niematerialna, jak pyłek porwany przez wiatr i złożony na przypadkowym kamieniu. Tutaj czuła regularny ruch wszechświata: każdy korzeń, uderzenie serca, obieg planet wokół Słońca. Było to wrażenie porównywalne do wewnętrznego ciepła, po wypiciu gorącej herbaty parzonej przez babcie. Nila sięgnęła do satynowego woreczka, który wcześniej owinęła wokół prawego nadgarstka. Przetasowała znajome karty i rozłożyła przed sobą w dwóch rzędach - z każdego wybrała po jednej.

Tym razem to Nila była nowym elementem. Nie zmieniły się drzewa ani kolor kruczej szaty lecz sama królowa. Paź Kielichów pozostał na swoim miejscu, Nila delikatnie pogłaskała zniszczone brzegi karty. Druga z wybranych mrowiła jej palce, jak gdyby płynął pomiędzy nimi prąd. Loquere ad nos szeptały ciepłe głosy. Z powierzchni karty, ubrana w błękitną, spływającą ku ziemi suknię, patrzyła na Nilę Papieżycą. W jej oczach była mądrość, jakiej dziewczyna zawsze pragnęła, był w nich spokój i stanowczość. Chciała się od niej uczyć. Papieżycą miała nakłonić ją do zaufania samej sobie. Nila potrzebowała świątyni, której nikt nie byłby w stanie zburzyć. Świątyni bez schodów, filarów i bezimiennych posągów.

Znów oparła dłonie na kolanach, schowanych pod miękkim materiałem sukni i zamknęła oczy. Pod powiekami mieniły się dla niej całe galaktyki, niezbadane i piękne w swojej okazałości. Tej nocy Nila śniła o drzewach. Otworzyła oczy w potężnym lesie, gdzie wiązy i olchy wyrastały z wilgotnej gleby. Gdy je zamykała, cały świat zdawał się śpiewać na jej cześć. Pojęła, że mądrość lasu pochodziła od niej, to ona wyśniła każdy liść, każdą cząsteczkę powietrza i ptasi chór.

Kiedy Nilę obudził chłodny powiew wiatru, słońce właśnie wschodziło. Podłoga i ściany jej pokoju skąpane były w porannej łunie. Uniosła się na lewym łokciu i przetarła dłońią oczy, sprawdzając, gdzie się znajduje. Zniknęły wysokie wiązy i ruina obserwatorium. Woreczek z kartami tarota leżał na stercie książek, tam, gdzie Nila położyła go poprzedniego wieczora. Uczennica Papieżycy wróciła na Ziemię. Usiadła z zamiarem opuszczenia wygodnego łóżka, ale kątem oka dostrzegła coś, co kazało jej się zatrzymać. Uniosła poduszkę, na której zostały jej pojedyncze ciemne włosy. Sen nie był przypadkowy, nie rozplynął się o świcie, wszystko, o czym Nila śniła, było cząstką niej.

Istnieje w tym morał, ale nie podobny do czegośkolwiek, co wcześniej ci mówiono. Pod poduszką, delikatnie naderwane, leżało czarne krucze pióro.

Weronika Jońska

Utwór zdobył II nagrodę w grupie wiekowej 16-19 lat w kategorii proza w XXII Ogólnopolskim Przeglądzie Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży „Kacze Pióro” w Katowicach w 2016 roku.

Nocą
Białego
Coś na stole
Zakłóca harmonię.
Chaos jest doskonały
Mimo takiej skazy na czerni.

Z niej to
Dwoje oczu
Przygląda mi się z lustra.
Jedno chyba jest z zaświatów
Ale to pewnie pozory.
Nic tu nie jest prawdziwe.
T y chyba też mi się tylko
przyśniłeś.

Weronika Szczepaniak

Wiersz zdobyły I miejsce w XXVIII Międzypowiatowym
Konińskim Konkursie Poetyckim im. Bogusława
Janiszewskiego "Poezja młoda - poezja nowa" w 2019 roku.



Sentymentalizmy

Miałem wtedy może z osiem lat...? Góra dziewięć... Uwielbiałem siedzieć na dworze. Zresztą inne dzieciaki też. Komputery, dysk-meny czy jakakolwiek forma elektronicznej rozrywki nie były aż tak spopularyzowane jak dziś. Zresztą... nie każdego też było stać na takie gadzety. Dlatego, jeśli w domu był jakikolwiek komputer, to przeważnie należał do rodziców. Albo starszego rodzeństwa, jeśli ktoś takowe posiadał. Mi osobiście trafiło się dostąpić takiego zaszczytu. Do dziś wspominam, jak za dzieciaka non stop wpatrywałem się w poczynania mojego starszego brata, który gimnastykował się przed grubym ekranem monitora, rzucając co jakiś czas wymyślne wyzwiska i wyraźnie wyrzucał z siebie ekspresję.

Tak czy owak, znajdowałem czasami ciekawsze zajęcia, niż bycie giermkim mojego brata i wychodziłem poodychać świeżym miejskim powietrzem. Nie pamiętam, jak to się działo, ale zawsze wiedzieliśmy, gdzie się spotkać, gdzie są znajomi. Jakoś to było pewne, że zawsze wszyscy już byli na miejscu albo przychodzili po jakimś czasie. Czasem trzeba było zadzwonić po kogoś domofonem, ale to były skrajne przypadki. Rzadko się zdarzało, że trzeba było kogoś prosić, żeby wyszedł na dwór. Domofony były raczej formą rozrywki i narzędziem najlepszych żartów.

Pamiętam też, jak pewnego dnia przyszedłem na trzepak, a tam siedział tylko jeden mój kolega. Michał, którego

oczy były tak jasne, że zdawały się być oderwanymi od nieboskłonu skrawkami i włosach tak białych, że prawie przezroczystych. Strasznie mocno wtedy wiało. Pewnie dlatego tylko my dwaj wyszliśmy. Usiadłem obok niego na metalowej rurze, zdając sobie sprawę z tego, jak słabo moje jeansy ochraniają pupę, gdy Michał zakomunikował mi, że nikt oprócz nas nie wyjdzie.

– Dlaczego? – spytałem naiwnie.

– Bo strasznie pizga.

– Przestań – uderzyłem go w ramię. W przeciwieństwie do niego nigdy nie imponował mi język naszego starszego rodzeństwa. On tylko wzruszył ramionami.

Chwilę pomachaliśmy nogami nad betonem, gdy padło odwieczne pytanie, którego każdy się obawiał

– Co robimy?

Nie pamiętam, kto je zadał. Ale pamiętam, że to ja nagle ześlizgnąłem się z metalowej konstrukcji i wystawiłem twarz do wiatru.

– Słyszysz? – zapytałem. Michał w odpowiedzi również zgrabnie zjechał z trzepaka i stanął obok mnie. Uważnie mi się przyjrzał, ale zamiast od razu popukać się w czoło, również wystawił twarz do wiatru i zamknął oczy. Pamiętam, że świat był wtedy szarobury, zużyte liście już dawno pospadały z drzew i przykryła je tafla stojącego wszędzie błota. Niebo ubrało się dzisiaj bardziej pod kolor chodników, aniżeli oczu Michała, ale i tak wiatr i unosząca się w powietrzu wilgoć sprawiały, że czułem się cudownie.

Wśród gwizdów wiatru i jęków upadających liści dało się słyszeć... coś jeszcze...

– Słyszysz? – powtórzyłem Michałowi – To Jesień mówi. – wodniste oczy chłopca spojrzały na mnie z powagą. Zaczęliśmy zabawę.

Tamtego dnia do wieczora biegaliśmy po osiedlach i parkach wypełniając misję od samej Jesieni. Mówiła do nas w myślach, a my przekazywaliśmy sobie nawzajem informacje od niej i robiliśmy to, o co nas prosiła. Misje nie były skomplikowane. Począwszy od tego, że mieliśmy wszystkie kasztany zebrać z ulic i chodników i ułożyć na trawie, skończywszy na tym, że śledziliśmy pewnego tysego pana, gdyż jak stwierdził Michał „miał podejrzany, anty-jesienny wygląd”. Nasza Zleceniodawczyni dawała mu dużo bardziej ryzykowne i skomplikowane zadania, które wydawały mi się z początku absurdalne, aczkolwiek po dłuższym czasie Michał dopowiadał coś, co sprawiało, że w końcu zacząłem wierzyć, że przekazuje mi te słowa od Pani Jesień, których ja po prostu nie słyszałem.

Gdy zrobiło się ciemno i rozeszliśmy się do domów, nam obydwu iskrzyły się oczy. To była naprawdę super zabawa!

Na drugi dzień, gdy tylko się obudziłem, umyłem i zjadłem śniadanie, mama wyprawiła mnie do szkoły. Wchodząc do szatni z daleka zauważyłem mojego wczorajszego towarzysza z grupką chłopaków z naszego osiedla, więc szybko do nich podszedłem. Usłyszałem zaledwie strzępki rozmów.

– ... a tak tylko błakaliśmy się po osiedlu... - wzruszył chudymi ramionami Michał.

– Haha, no widziałem przez okno, jak biegaliście w te i wete. Aż chciałem do was wyjść, ale mama powiedziała, że jak wyjdę, to będę mógł pożegnać się z kieszonkowym na cały rok!

– Eeee rok to mało, mi kiedyś mama powiedziała, że jeżeli tknę zastawę od babci, to tata tak mnie stłucze, że nie usiądę na dupie do końca życia!

-Do końca życia to dość długo...

Słuchając tej wymiany zdań między kolegami zastanawiałem się, czy i ja mam jakąś fajną historię, którą mógłbym teraz opowiedzieć, o tym jak mama mnie straszyla jakąś długą karą, ale nie wiedziałem jak przebić „do końca życia”. Z rozmyślań wyrwał mnie Michał, który pociągnął mnie za wystający spod swetra podkoszulek i zaciągnął mnie w kącie. Tam spojrział na mnie z powagą i oblizawszy popękane usta zaczął:

- Nasza wczorajsza zabawa.. Masz o niej nikomu nie mówić.. - zaszeptał

- Ale dlaczego..?! - prawie krzyknąłem, ale on pociągnął mnie za sweter, co sprawiło, że się trochę uciszyłem.

- Idioto... Jak ktoś dowie się o naszej zabawie... To nas wyśmiejają...

- Co... - zaszeptałem zdziwiony i mimo ogromnego oburzenia nie odważyłem się drugi raz krzyknąć.

- No.. to trochę babskie.. słuchanie jakiś głosów i wypełnianie tego co mówią, nie uważasz...? W odpowiedzi zamilkłem gniewnie marszcząc brwi - no stary daj spokój... - Michał znowu oblizął spierzchnięte usta i zaczął:

- Słuchaj. Nie uważam, że to głupie. Nawet fajnie się wczoraj bawiłem. Możemy dalej się w to bawić. Ale pod warunkiem, że nikomu nie powiesz, dobra?

- Dobra... - przyznałem trochę oburzony, ale udobruchany wizją kontynuowania zabawy.

- To co, widzimy się dzisiaj? - spytał, żeby się upewnić, że już się nie gniewam. Nie gniewałem się. Wciąż pokiwiałem głową z entuzjazmem.

- Hej! Wy dwaj! Co tam knujecie... - nasze szepty wzbudziły zainteresowanie kolegów, którzy chyba skończyli swoją dyskusję. Szybko zrywając temat podeszliśmy do nich z uśmiechami. Zaczęliśmy się przekomarzać i popychać w drodze do klasy.

- Powiedziała, że musimy biec na tamtą górę! Szybko! - rzuciłem hasło i z rozpędu wdrapałem się na ogromny pagórek, który znajdował się na środku naszego parku. To był już ósmy dzień z rzędu naszej zabawy. Strasznie się cieszyłem, że mogłem rozmawiać z Panią Jesienią tak często! I że nie byłem w tym sam! Czuję, że z dnia na dzień coraz lepiej mi idzie.

Martwił mnie trochę Michał... Jego zainteresowanie było odwrotnie proporcjonalne do mojego... Jakby się czegoś obawiał... Ale przecież powiedział mi wtedy, tam, w szatni, że podoba mu się to... więc nie drażyłem. Zresztą, gdyby nie chciał się bawić, to by mi powiedział, prawda?

Tak... Tak właśnie wtedy myślałem, wdrapując się na ten pagórek... Dobrze to pamiętam. Ponieważ parę minut później, gdy już wdrapałem się na szczyt, wsłuchany w odgłosy Jesieni, usłyszałem tuż za swoimi plecami:

- Znudziło mi się to.

Ostłupiały odwróciłem się w stronę Michała. Stał tuż za mną. Z rękoma w kieszeniach wytartych jeansów, chowając brudną twarz w fałdach szalik z rozwianymi przezroczyściami włosami. Kopał coś grubym, zimowym już pewnie, butem w piasku. Nawet nie wszedł na szczyt, tylko zatrzymał się tuż przed nim. Zagotowało się we mnie.

- Słucham? - zaczęłem niedowierzając.

- Znudziło. - wrzucił ramionami, nie patrząc mi w oczy.

- Jak to ci się nudziło?! Co?! Jak możesz tak mówić?! Przyjaciele też ci się nudzą?! - podszedłem do niego i szturchnąłem go parę razy - Mama by ci się nudziła?!

- Przestań! - odepchnął mnie w geście obrony. Może był chudszy, ale wyższy i silniejszy. Od razu upadłem, znów przekonując się o niepraktyczności własnych jeansów. - To nie jest mama... To się robi chore... Ja nie chce tego już słyszeć... - zaczął panicznie, a w jego małych skrawkach nieba dostrzegłem zalążki deszczu. - To nie jest mama... - pisnął bezradnie, odwrócił się i zbiegł z pagórka.

- Tchórz... - mruknąłem gniewnie, wstając i otrzepując spodnie.

Stałem na szczycie pagórka. Znow zamknąłem oczy. Pozwoliłem, żeby dotknęła mojej twarzy.

Poczułem alabastrowy chłód na policzku. Skóra szczypała mnie różowym rumieńcem.

Podniosłem oczy na jej smukłą bladą twarz i rozwiane liściaste włosy. Błyszczące, jak świeże kasztany, oczy wpatrywały się we mnie z uczuciem, a jej policzki uniosły się nieznacznie.

- Mamo... - dotknąłem jej długich rozczapierzonych jak gałęzie palców i delikatnie pocałowałem ją w wierzch „dłoni”.

- Już zawsze chcę spełniać Twoje rozkazy...

Otwór nad jej podbródkiem delikatnie się rozszerzył i wydobyły się z niego wysokie melodyjne dźwięki, których świst delikatnie musnął moja twarz.

- Nie. - odpowiedziałem twardo - Chcę zostać z Tobą.

Fałda nad jej mieniącymi się brązami oczyma zmarszczyła się, a świst znowu uderzył moje olicze.

- Jak to odchodzisz..? Dokąd..?! Kiedy wrócisz..?!

Nic już nie powiedziała. Delikatnie odsunęła się ode mnie z łagodnym wyrazem i powoli zaczęła sunąć przed siebie.

- Czekaj..! - zsunąłem się jak najszybciej mogłem z pagórka. Zdarłem sobie przy tym kolano i trochę dłonie. Ale to nie było ważne! Szybko ją dogoniłem i złapałem powiewający skrawek otulającego ją materiału. Spojrzała na mnie łagodnie i spytała, czy nie będę tęsknić za domem.

- Obiecuję, że nie będę. - odpowiedziałem najpoważniej jak mogłem, czując, że szczerłość wręcz wylewa mi się z twarzy.

Wtedy spod ciemnego materiału wysunęła się powoli alabastrowa, krzaczasta dłoń. Złapałem ją swoją małą, ciepłą i różową, ludzką rączką i czując na twarzy przyjemny powiew mokrego chłodu... zniknęliśmy.

Do dziś czasami obserwuję moją pierwszą mamę. I starszego brata. Tej nocy, której odszedłem, czułem każdym skrawkiem ciała ich bezradność i rozpacz. Miałem wrażenie, że z dnia na dzień jest coraz większa.. ale w pewnym momencie to uczucie zaczęło w nich przygasać. Powoli się z tym oswajali. Twierdzili, że zaginałem. Wszyscy! Ignoranci...

Nie wiem, ile już lat od tego zjścia minęło. Nie wiem, co się zmieniło... Dopiero dziś Mama zabiera mnie ze sobą. To moja pierwsza jesień z Nią. Nie mogę się doczekać!

Powiedziała mi, że będę jej pomagać. Na razie czasem gdzieś dmuchnę, czasem rozrzucę liście, czasem porzucam w ludzi kasztanami... Pójdę zobaczyc pod mój blok... i pod blok moich kolegów... pod blok Michała... Ciekawe, czy mnie zauważą... A potem minie kolejna jesień. Kolejny rok. Może kiedyś... Może kiedyś i mnie uda się zostać Jesienią...?

Lidia Tomczyk

Opowiadanie zamieszczone w zbiorze „Drobiazgi”, który wysłano na Ogólnopolski Konkurs Literacki Ridero „Misja - książka!” w 2017 roku.

Moja opowieść o świętym Mikołaju

15 listopada, a ja już od rana słyszę:

– Mamo, gdzie są te światełka, które co roku wieszamy u mnie w pokoju?

Ech... Ponad miesiąc do świąt, a świat wraz z moją siedmioletnią córką ogarnęło szaleństwo. Już w prawie w każdym sklepie spotkamy świąteczne ozdoby i usłyszymy świąteczne hity muzyczne. Co roku to samo. Niestety, z każdym rokiem jest coraz gorzej. Sklepy oferują atrakcyjne ceny na prezenty dla najbliższych, a reklamy bombardują nas z każdej strony coraz to większymi promocjami. Oczywiście, pozornymi promocjami. Najgorsze jest to, że nie da się tego uniknąć. Zwykle wyjście po bułki, staje się pełną „świątecznej magii” wyprawą. Sklepy opanował specyficzny zapach plastikowych łańcuchów choinkowych. Przysparza mi to o całonocny ból głowy. Nigdy nie wiem, co ze sobą zrobić w tym czasie. Jedyne co mi zostaje, to cicho przetrwać te kilka dni, nie psując świąt innym.

– Mamo, no chodź. Sama nie dam sobie rady z Mikołajem. Ten nieszczęsny Mikołaj. 3 lata temu, kiedy Asia zobaczyła w sklepie kukłę Mikołaja naturalnych rozmiarów, oszalała z zachwytu. W dziecięcej głowie urodził się plan. Asia stwierdziła, że figura wygląda tak realistycznie, że na pewno zwróci to uwagę prawdziwego Mikołaja. Według mojej córeczki zabieg ten sprawi, że Mikołaj zatrzyma się na chwilę, aby przyjrzeć się swojemu duplikatowi. W efekcie spowoduje to możliwość przyłapania go u nas w domu. Nie udało jej się to przez te kilka lat i raczej się nie uda, ale figura Mikołaja weszła już w naszą tradycję.

Asia piszczy i skacze z radości, a ja taszczę nielekką figurę po schodach. Co za koszmar. Co roku jestem przerażona z powodu tego, co dźwigam na plecach. W ciągu dnia jakoś wpisuje się ona w krajobraz pokoju, lecz gdy gaśnie światło, zawsze mam wrażenie, że ktoś naprawdę stoi w rogu salonu. Mikołaj, usytuowany z prawej strony choinki pod ścianą obok telewizora, zajmuje dość dużo przestrzeni i często nie da się przejść, co dodatkowo utrudnia mi życie.

– Asia, zostaw już te ozdoby i ubieraj się. Idziemy do sklepu, trzeba kupić jakieś ciastka. O 17 przychodzą Mielczarscy.

– Taaak. A wezmą ze sobą Miśka?

Misiek to pies państwa Mielczarskich. Osobiście za nim nie przepadam i uważam to stworzenie za nadmiernie głośne. Niestety, dla każdej siedmioletki jest to istny cud świata.

Gdy zbliżała się ustalona godzina, dokonałam małych poprawek makijażowych i usłyszałam dzwonek do drzwi. Gdy tylko je uchyliłam, pierwszy do środka wpadł oczywiście Misiek, szczekając radośnie i obwąchując wszystko dookoła.

– Witajcie! - przywitałam gości. - Jak miło was widzieć. Tak rzadko się spotykamy. W sumie raz do roku. I to zawsze w tym zwariowanym okresie przed świętami. Zapraszam do salonu.

Pierwszy poszedł nie kto inny jak pies, lecz tym razem jego zachowanie nas zdziwiło. Zaczął szarpać nogę Mikołaja.

– Mamo, jak on go przegryzie, to uleci z niego cała magia! Zapowiadało się na płacz Aśki.

– Misiek! Chodź tu! Nie wolno! - krzyczała pani Mielczarska. Czekala na aprobatę swego męża.

– Ale już, do nogi. Niedobry pies - Z opóźnieniem zareagował pan Mielczarski. – A co ty masz w pysku? Metkę?

– Pokaz mi to. Metka? – byłam trochę zdziwiona - Ale od czego? Figura Mikołaj? - Asia zobacz, nasz Mikołaj cały czas miał metkę.

Asi momentalnie zmieniła się mina. Z zaciekawieniem do mnie podeszła.

– Co? No tak, wszystko jasne. Mamo, już wszystko rozumiem. Mikołaj widział tę metkę. To dlatego nigdy się u nas nie zatrzymał na dłużej. Zobaczysz, w tym roku się uda!

Moja córka, znowu pełna nadziei, zaczęła podśpiewywać Last Christmas.

Wieczór przed wigilią Bożego Narodzenia. Nerwówka nie omija nikogo. Pośpiech i stres łatwo się udziela. Nawet nasza rybka Ela pływa nerwowo w kółko. Na szczęście już 19.00 i dzień się powoli kończy. Trzeba jeszcze pokroić ostatnie warzywa na sałatkę.

– Słońce, co robisz? – zawołałam do córki.

– W sumie to nic... A o co? - głos dobiegał z salonu.

– Pomożesz mi w kuchni?

– Noo... Już idę.

Po dwóch minutach była już przy mnie i sięgała po deskę do krojenia. Gdy Asia skończyła kroić swoją część marchewek, czmychnęła do łazienki, aby się umyć i poszła do swojego pokoju spać. Poprosiła mnie, żebym obudziła ją, gdy sama będę chciała się położyć, aby mogła czuć przez noc.

Gotowanie całkowicie mnie pochłonęło. Nawet nie wiem, kiedy upiekłam ciasto marchewkowe. Dochodziła północ, gdy wyszłam z kuchni, gasząc za sobą światło i udałam w stronę łazienki. Przechodziłam koło salonu świadoma, że pewnie znowu się nabiorę. Po spojrzeniu do pokoju pierwsze wrażenie było takie samo, jak zawsze. Jednak tym razem strach i niepewność opanowały mnie na dłużej, a przynajmniej tak mi się wydawało. Wszystko trwało tak wolno, a jednocześnie szybko. Widziałam ruch postaci w miejscu naszego Mikołaja. Czy ja oszalałam? Chyba jestem bardzo zmęczona. Ale tam chyba rzeczywiście ktoś jest. Koniec tego.

Szybko podeszłam do włącznika światła. Figura Mikołaja w świetle lampy zamarła w bezruchu. Jednak dalej wyczuwałam czyjąś obecność. Poczułam zimny podmuch wiatru, spojrzałam w stronę okna. Było otwarte, a za szybą zauważyłam jakiś ruch. Okno było otwarte. To niemożliwe, nie otwierałam go. Podeszłam do szyby, aby zobaczyć co się dzieje na zewnątrz. Pusto i cicho. Poszłam do pokoju Asi. Skoro mnie prosiła, abym ją obudziła, to czemu miałabym tego nie zrobić. Szepnęłam jej do ucha, aby się obudziła.

– Mamo już nieważne, widziałam – powiedziała, nie otwierając oczu.

Widziała? Ale jak widziała, co widziała? Mikołaja? Albo moja córka jest bardzo zaspana, albo jest świetną kłamczuchą, albo naprawdę ktoś tam był. Przecież to niemożliwe. Moja mama zawsze mi powtarzała, że warto wierzyć, nawet w dziecięce rzeczy, bo mają w sobie szczyptę prawdy. Mówi się, że starsi zawsze mają rację, jednak nigdy jej nie słuchałam. Czy powinnam coś zmienić w tej sprawie? Czy byłam świadkiem magii? Czy dostałam sygnał od świata, aby zacząć wierzyć? Nie wiem, co myśleć.

A może... ?

Olga Bejm

Opowiadanie wyróżnione na Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Moja opowieść o św. Mikołaju” w roku 2016.



Autorzy tekstów:

Olga Bejm, rocznik 1997. PLSP w Kościelcu ukończyła w 2017 roku. Obecnie studiuje na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu (kierunek Intermedia, specjalizacja Film Eksperymentalny) oraz na AMA Film Academy w Krakowie (kierunek Postprodukcja). Studia łączy z pracą w domu produkcyjnym Cam-L Studio.

Maria Głowienka, rocznik 1997. PLSP w Kościelcu ukończyła w 2017 roku.

Weronika Jońska, rocznik 1997. PLSP w Kościelcu ukończyła w 2017 roku. Obecnie studiuje na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu (wydział WOAK, kierunek Ogrodnictwo).

Julia Kochańska, rocznik 2001. Uczennica klasy III PLSP w Kościelcu.

Lidia Tańska, rocznik 2000. Uczennica klasy IV PLSP w Kościelcu. Laureatka Olimpiady Artystycznej z historii sztuki oraz Stypendium Prezesa Rady Ministrów na rok 2017/2018.

Lidia Tomczyk, rocznik 1997. PLSP w Kościelcu ukończyła w 2017 roku. Obecnie pracuje jako aktorka teatru objazdowego występując w spektaklach profilaktyczno-komediowych dla dzieci.

Weronika Szczepaniak, rocznik 2001. Uczennica klasy II PLSP w Kościelcu.

Autorzy ilustracji:

Marcin Derda, rocznik 2000. Uczeń klasy IV PLSP w Kościelcu. Laureat Ogólnopolskiego Przeglądu Rysunku, Malarstwa i Rzeźby klas III – zdobywca I miejsca.

Aleksandra Lewandowska, rocznik 2000. Uczennica klasy IV PLSP w Kościelcu. Jej prace zostały zaprezentowane podczas Salonu Ilustratorów 2018 PEGAZIK.



Redakcja:

Violetta Kaszyńska
Agnieszka Małecka

Opracowanie graficzne:
Rita Drabina

Państwowe Liceum
Sztuk Plastycznych w Kościelcu



Podziękowania dla Pawła Tomczyka,
Darii Wojciechowskiej



Silva rerum